

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 14.III.1971 Nr 6 (465)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

O chałupnictwie głośno i na ucho

Jerzy Dostatni

Zaśpiew krainy dzieciństwa

Wojciech Kurhan

Dzwon w sprawie Marii

Romuald Wiśniewski

Dworzec kultury?

Ireneusz J. Kamiński

Socjologia wyznaczyła Lublinowi rolę „samodzielnego środowiska kulturalnie twórczego” – za Warszawą, Krakowem, Wrocławiem, Poznaniem, Gdańskiem i Łodzią*. Zdecydowała się na ten gest awansujący z pewnym wahaniem, ale przecież i tak wpawiła nas, tutaj żyjących, w mile zakłopotanie, zmuszając do uważnego spojrzenia w lustro. A tam, faktycznie, same modelowe radości, jak ulal pasujące do socjologicznej teorii. Wymaga ona od ośrodka wojewódzkiego jednego teatru, – nad Bystrzycą działają trzy, uwzględnia jedną gazetę – w Lublinie wychodzą dwa dzienniki i dwutygodnik. Istnieje też – zgodnie z modelem rozgłośnia radiowa i kilka wyższych uczelni, ponadto jednak, niejako poza programem, mamy filharmonię, wydawnictwo, placówki wystawiennicze. Miasto zdaje się więc stwarzać szerokie możliwości wielokierunkowej samorealizacji indywidualności twórczych, wokół których nawierzni się całe środowisko.

TYMCZASEM na niedawnej naradzie Wojewódzkiej Komisji Rozwoju Kultury oficjalnie zauważono odpyw ludzi sztuki z Lublina, co osłabia i tak dość nieliczne środowiska twórcze. Miasto jest czymś w rodzaju dworca dla artystów, którzy po okresowym pobycie w jego murach uciekają gdzie pieprz rośnie, albo jeszcze dalej. Model zachęca, rzeczywistość odpcha, o co tu w końcu chodzi?

Chodzi o półśrodki. Wyposażony powyżej normy w placówki kulturalno-artystyczne, Lublin nie zdołał zapewnić im optymalnych warunków działania. Przyчины takiego stanu rzeczy są dość złożone, lecz w żadnym wypadku, choć to najłatwiej, nie można ich kojarzyć jedynie z brakiem odpowiednio wysokich środków inwestycyjnych. Wskazuje na to historia planowanej budowy nowego teatru, początkami sięgająca połowy lat pięćdziesiątych.

Jeszcze bowiem w 1955 r. rząd podjął uchwałę w sprawie wzniesienia nowego obiektu teatralnego w Lublinie. Ogłoszono odpowiedni konkurs architektoniczny, rozstrzygnięto go nawet, po czym zapadła cisza, przerywana od czasu do czasu dziennikarskim pytaniem, kiedy projekt zarszeni się w fakt realny. Nie zamienił się jednak, bo indolencja władz miejskich (może nie tylko) zaprzepaściła wyjątkową szansę.

Po czterech latach zebrał się w Lublinie sejmik kultury, który ponownie dostrzegł potrzebę budowy teatru, co w ówczesnej sytuacji ogólnoeconomicznej województwa i kraju było raczej sugestią na odległą przyszłość. Dziś wiemy na pewno, że wzniesienie nowego obiektu trzeba odłożyć ad acta.

W starym budynku przy ul. Narutowicza działają więc dwie sceny dramatyczne i filharmonia, co szczególnie ogranicza możliwości tej ostatniej, instytucji mimo wszystko prężnej, o rosnących ambicjach programowych. Planowana rozbudowa obiektu polepszy zapewne sytuację obu tych placówek artystycznych, lecz należy wątpić, czy rozwiąże ostatecznie inny problem, szczególnie ważny w grze o pozyskanie młodzieży aktorskiej: problem mieszkań dla artystów.

Dokończenie na str. 4-5



Fotop. A. Polakowski

Władysław Filipiak, jeden z najbardziej aktywnych twórczo i zasłużonych dla plastyki lubelskiej artystów, obchodzi w tym roku 40-lecie działalności malarskiej i graficznej. Obszerniejszy artykuł o dorobku pierwszego prezesa Związku Plastyków w Lublinie (1936 r.) zamieścimy w jednym z następnych numerów pisma.

Edmund Pietryk

* * *

jesień jest tylko wierzycielem zimy
a co kuszące w martwych naturach
to ów nagości moment pustelnicy
zima strzyżąc drzewa długi swe odbiera
i to jest kostium a to jest rekwizyt
co między twoim i moim oddechem
to jest ów śmierci moment pustelnicy
w miłosnym znuczeniu nasze spoielenie
morze pianę toczy po spotkaniu z wiatrem
jesień się rumieni ze wstydu rodzenia
krew ma kobieta na poczęcie dzieci
co wojny pamiętają jak okrutne wiersze
i to jest kostium a to jest rekwizyt
w martwych naturach i w śniegu angorze
nagości która uświęca moment pustelnicy
w tym miłosnym znuczeniu nasze spoielenie

(Z tomu „Tren na śmieć małych cerkiewek”, który ukaze się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego).

SPRAWA relacji TV a teatr nie od dziś urasta do problemu wielkiego formatu w skali światowej. Znalazł on rezonans m.in. w obradach XIII Kongresu Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (ITI) w Budapeszcie wiosną 1969 r., gdzie analizowano różne czynniki, które przywiodły teatr dzisiejszy na dość trudne rozdroże – i szukano możliwości pokonania kłopotów.

U nas w Polsce, po przetoczeniu się fali alarmów prasowych, konstruktywne wnioski z sytuacji wyciągnął, zdaje się, głównie Teatr „Wybrzeże”, wprowadzając coraz to nowe metody osiągania korzystnego stosunku pomiędzy planowaniem artystycznym a imperatywami budżetowymi. O tych ciekawych metodach informuje Andrzej Żurawski w artykule pt. „Teatr monopolista” („Współczesność” nr 3 z br.). Natomiast szereg kierownictw teatralnych oddało się po prostu taktycznym biadoleniom, uznając wpływ przyrostu telewizji na ubytek publiczności teatrów żywego planu za argument, którym można usprawiedliwiać przemycanie do repertuaru poszczególnych lukratywnych pozycji, niestosownych lub wręcz niewłaściwych na szanującej się scenie dramatycznej.

Taki też jest, niestety, casus lubelskiego Teatru im. J. Osterwy, gdzie w pełni sezonu 1969/70 blokowano scenę przez cztery miesiące słynnym bestsellerem „Dziś do ciebie przyjść nie mogę”, który powinien być wykonywany w teatrach muzycznych, a w każdym bądź razie nie w jedynym na całe województwo państwowym teatrze dramatycznym. Ale montaż patriotycznych piosenek partyzanckich to przynajmniej rzecz nobliwa. Gorsze było, gdy tenże Teatr Osterwy zaprezentował warcotte potem grafomanską adaptację „W pustyni i w

puszczu” i wyrównywał nią długo plan finansowy, wpędzając widza terenowego w infantylizm. Dalej. Sezon 1970/71 rozpoczął się na scenie im. Osterwy uroczystości „Kordianem” w inscenizacji i reżyserii Adama Hanuszkiewicza. Następnie wystawiono „Śluby panieńskie”, „Poskromienie złośnicy”, „Antygona” Sojoklesa w interesującym ujęciu młodego reżysera J. Jasielskiego, zapowiadano „Pensje pani Latier” (inscenizacja Hanuszkiewicza), premierę – „Wyzwolenia”. Na małej scenie „Reduta 70” pokazano mało znaną jednoaktówkę

Skąd owa zachłanność kierownictwa teatru dramatycznego? Wiadomo, „Robinson” pójdzie w terenie kompletami, przyciągając wszystkich potencjalnych widzów, niezależnie od ich wieku.

Okazuje się tedy, iż mimo rozsądnego, poza tym, zaplanowanego repertuaru dyrekcja teatru wycezuwa wszystkimi fibrami zagroże-

Powiedzmy sobie otwarcie: obecna nietłwa sytuacja teatrów wojewódzkich wymaga przede wszystkim głębokiego przemyślenia i konkretnego przedyskutowania w KC PZPR, w Ministerstwie Kultury i Sztuki, SPATIF’ie, w Związku Literatów, w sekcjach twórczych Stowarzyszenia Dziennikarzy, w wojewódzkich instancjach partyjnych, w komisjach rozwoju kultury, w związkach zawodowych, w domach kultury, w szkołach, w kołach miłośników teatru itd., itd. Niezbędna jest nie tylko instytucjonalna i profesjonalna dyskusja, ale szeroka dyskusja społeczna, albowiem śmiem twierdzić, że krzewiąc kulturę teatralną ze sporym nakładem dobrej woli, lecz jak dotąd dość wyrwykowo, nie zdołaliśmy jeszcze wyrobić sobie jasnego pojęcia co, gdzie i jak należy krzewić. Właściwą odpowiedzią na te pytania może dać jedynie sprawnie zorganizowany rekonesans w sferach kompetentnych oraz sondaż w rozmaitych kręgach społecznych, będących zarazem podmiotem i przedmiotem akcji upowszechnieniowej.

Mówią dyrekcje teatralne: „...bo telewizja...”. Dobrze się tedy stało, że Zarząd Główny Związku Teatrów Amatorskich zorganizował w połowie lutego w Warszawie plenarne zebranie Krajowej Rady Kół i Klubów Miłośników Teatru zarówno celem omówienia zadań rady w świetle programu ZTA na rok 1971, jak i dla przedyskutowania sprawy harmonijnego współistnienia TV i teatru żywego planu.

Dokończenie na str. 8-9

W poszukiwaniu szans teatralnych

Maria Bechcysz-Rudnicka

poetyką Józefa Czechowicza „Czasu jutrzejszego”, pokazano „Protesisasa i Laodamie”, przyrzeka się debiuty młodych, obiecujących autorów. Cześć za to wszystko i chwala teatrowi. I można by puścić stare grzeszki w niepamięć... Cóż, kiedy nagle do godziwego grona tych pozycji repertuarowych włączuje się komercyjna przeróbka „Przypadków Robinsona Crusoe”. Ktoś orzekł, że wojewódzki teatr dramatyczny powinien wyręczać specjalną scenę dla dzieci, Państwowy Teatr Lalki i Aktora, który wszak również potrafi wystawić z powodzeniem nieskomplikowaną sztukę w żywym planie.

nie wytyczonego planu finansowego. Ima się więc starego, prostego sposobu: wystawia coś dla „maluczkich”. Niedobry to symptom zbytniej powolności w procesie krzewienia kultury teatralnej, gdyż wydatek się, że opisany wyżej proceder jest dość typowy dla szerszego ogółu naszych dyrekcji teatralnych.

Dyskutujemy odważnie i rozważnie

RACJA ISTNIENIA NAUK HUMANISTYCZNYCH

ODNOWA życia społeczno-politycznego w Polsce, dokonująca się po VII i VIII Plenum KC PZPR, otwiera także przed polską humanistyką pełniejsze możliwości rozwoju i społecznego funkcjonowania. Jesteśmy również zainteresowani w rozwoju nauk społecznych, humanistycznych odgrywających wielką rolę w procesach społeczno-ekonomicznych, w socjalistycznym wychowaniu, w duchowym wzbogaceniu społeczeństwa — stwierdził sekretarz KC PZPR, Edward Gierek na VIII Plenum KC PZPR.

Stwierdzenie to posiada niezwykle doniosłe znaczenie dla zrozumienia sytuacji i perspektyw rozwojowych polskiej humanistyki. Klady bowiem kres tym orientacjom i praktykom, które często jeszcze w naukach społeczno-humanistycznych upatrywały domnę subiektywizmu, przypadkowości i politycznej tendencyjności i odmawiały im prawa do uczestnictwa w rewolucji społecznej, realizowanej w naszym kraju. Orientacje takie rodziły się w atmosferze jednostronnego „kultu nauk przyrodniczych i matematycznych”, z wyobryzmania ich roli cywilizacyjno-kulturowej, w klimacie negacji potrzeby odwoływania się do uogólnień i diagnoz, wypracowanych przez nauki społeczne, przy podejmowaniu decyzji ekonomicznych, społecznych czy politycznych. Poglądy takie powstawały na podłożu niezrozumienia walorów poznawczych humanistyki, odmawiania jej cech naukowych oraz posiadania jej o tendencyjne wartościowanie.

W sytuacji społeczno-politycznej i kulturalnej, jaka istniała w Polsce w ostatnich latach, ukazywał się bardzo specyficzny status nauk humanistycznych. Był to status nauk o charakterze doradczym, operujących modelami prawdopodobieństwa, nie dających dostatecznie obiektywnych przesłanek do podejmowania ważnych społecznie decyzji. Był to status nauk nie mających bezpośredniego i znaczącego wpływu na produkcję, zaspokajających ciekawość ludzką, docierających do stosunkowo wąskich kręgów społecznych, stanowiących ten rodzaj naddobudowy ideologicznej, która bada fakty społeczne już dokonane, a nie toruje drogi nowym, racjonalnym i nowoczesnym socjalistycznym rozwiązaniom problemów społecznych, gospodarczych i kulturalnych.

Taki stosunek do nauk społecznych i taka ich ocena miała swoje źródło w pewnej słabości tych dyscyplin, w ich rzeczywistym nienadążaniu za potrzebami społecznymi (czego klasycznym przykładem jest psychologia społeczna, psychologia człowieka dorosłego czy ekonomia polityczna), ich swoistym uciekaniem w historię lub badania modelowe. Taki stosunek do nauk humanistycznych miał jednak również swoje źródło w tym że w życiu społecznym i politycznym występowały tendencje autokratyczne i indywidualistyczne. Tendencje te hamowały zapotrzebowanie na obiektywne i wielostronne diagnozy naukowe i koncepcje teoretyczne ukazujące zasady i metody rozwiązywania problemów społecznych. Stosowanie się bowiem do wskazań nauk społeczno-humanistycznych pozostawało w sprzeczności z ujawniającymi się tu i ówdzie skłonnościami do arbitralnego i apriorycznego rozstrzygnięcia problemów. W ten sposób wygasła społeczne zapotrzebowanie na obiektywną diagnozę, ekspertyzę i wskazania nauk humanistycznych.

Niedocenianie nauk humanistycznych przez pewnych działaczy społecznych i państwowych wynikało również z

ich samoobrony przed koniecznościami reorganizacji i rekonstrukcji polityki społecznej i gospodarczej, postulowanej przez nauki społeczne. Wygasaniu społecznego zapotrzebowania na obiektywne, wielostronne, analityczne i integrujące, aktualne i perspektywiczne badania nauk społecznych towarzyszył wzrost oceny na badania uzasadniające słuszność i niezbędność podejmowanych przez władze partyjne i państwowe decyzji.

Sytuacja w naukach społecznych ukazywała się zatem wręcz paradoksalnie — z jednej strony bowiem nauki te były traktowane jako oderwane od praktyki społecznej, anachroniczne lub utopijne „pobożne życzenia” uczonych, z drugiej jako naukowo obudowa podjętych wcześniej decyzji politycznych czy ekonomicznych. W ten sposób w myśleniu społecznym zaczął funkcjonować stereotyp humanistyki jako dziedziny wiedzy ludzkiej bądź opartej na wyjątkowych lub przypadkowych doświadczeniach społecznych, i w związku z tym nie mogącej być podstawą decyzji ekonomicznych czy politycznych, bądź wyprowadzonej z doświadczeń historycznych niesdekawatnych już do aktualnej rzeczywistości.

Prowadziło to do traktowania nauk społeczno-humanistycznych jako pewnego rodzaju ciekawostek poznawczych, osobliwości informacyjnych, jako sfery intelektualnej egzotyki, a nie jako źródła obiektywnej i sprawdzonej, dającej się zastosować wiedzy o rzeczywistości.

Zmiana modelu życia społeczno-politycznego naszego kraju, dokonana dzięki decyzjom, i działalności nowego kierownictwa PZPR, zaspokojona na VII i VIII Plenum i z całą konsekwencją aktualnie kontynuowana, porwała w ten sposób usytuować nauki humanistyczne, aby wszystkie tworzone przez nie diagnozy, uogólnienia, teorie, prawa czy prognozy rozwojowe mogły jak najlepiej i jak najszerszej służyć Polsce, jej rozkwitowi i socjalistycznemu przekształcaniu.

Istnieją teraz olbrzymie szanse wyrównania dysproporcji między rozwojem nauk technicznych i matematyczno-przyrodniczych a rozwojem nauk społeczno-humanistycznych. Istnieją społeczne możliwości upowszechnienia takiego stylu działania wszystkich odpowiedzialnych za intensyfikację rozwoju gospodarczego, wychowania społeczeństwa w duchu socjalistycznym i rozwoju kultury narodowej, który będzie polegał na pełnym respektowaniu idei i wskazań naukowych nauk społecznych.

VIII Plenum KC PZPR otwiera w całym życiu narodowym nowy okres, okres pełnego porozumienia i racjonalnej współpracy partii i społeczeństwa, władzy i obywatela. W tym procesie konsekwentnej demokratyzacji stosunków społecznych, ważną rolę mogą i powinny odegrać nauki społeczno-humanistyczne. Stanie się tak, jeśli nauki te zostaną wywołane z serwitutów doradczą służebności i interpretacyjnej jednostronności, jeśli uzyskają status pełnej obiektywności i społecznej reprezentatywności. Szansa nauk społeczno-humanistycznych tkwi w ich zbliżeniu do rzeczywistych potrzeb rozwojowych narodu, w zapewnieniu prawdziwości ich diagnoz i zwiększeniu przydatności dla życia społecznego.

Waldemar Kamiński

STRACIĆ TWARZ, ALE NIE POSADĘ

KLUB Reporterów Miejskich w Lublinie na swe ostatnie zebranie zaprosił przedstawicieli różnych agend władz miejskich. Jeden z nich pochwalił się głośno: — W najbliższych dniach gastronomia nasza rozpocznie sprzedaż tanich obiadów. Dwudaniowych, pełnokalorycznych, po 12 zł. — Czemu to zawdzięczamy? — spytał któryś z dziennikarzy.

— Będą sporządzane z tańszych surowców.
— Ale dlaczego wprowadzacie te obiady?
— Po prostu chcemy umożliwić ludziom pracy, także tym niżej uposażonym, korzystanie z usług gastronomii.

— Ci niżej uposażeni nie od dziś potrzebują treściwie zjeść. I nie od dziś muszą liczyć się z każdą złotówką. Dlaczego nie myśleliście o nich wcześniej? Dlaczego pomyśleliście dopiero teraz?

— Sytuacja polityczna była inna. Poprzednie kierownictwo polityczne żądało, by zakłady dawały jak największy dochód — tłumaczył handlowiec.

Wypowiedź ta była typowym przykładem braku poczucia odpowiedzialności. Nikt z poprzedniego kierownictwa politycznego nie zabraniał Lubelskim Zakładom Gastronomicznym wprowadzania tanich, smacznych obiadów po 12 zł. Obciążając słuszenie dawne kierownictwo polityczne za popelnione przezeń błędy i przewinienia, nie zapominajmy, że są też ludzie, którzy tę błędną politykę w różnych dziedzinach, na różnych szczeblach realizowali. Ze częstokroć byli przy tym świętymi od papieża. Żądano uzyskania przez zakład jak największych zysków. Żądano słuszenia. Dziś powinniśmy domagać się tego samego. Rzecz w tym, jaką drogą zyski te się osiągną. Czy najprymitywniejszą, a zarazem szkodliwą społecznie: w omawianej sprawie przez wprowadzanie dań z coraz droższych surowców? Czy wypróbowaną na całym świecie metodą: mały zysk, duży obrót? Tanie, smaczne dania, mało zarobku na jednym, duży zysk, bo nakarmiono szeroką masę konsumentów. I zaraz nasuwa się następne pytanie. Konkretne. Nie pozwalano im bardziej dbać o konsumentów? Nie chcieli im się, a nic ich nie zmuszało? A może po prostu nie mogli, bo to było powyżej ich wiedzy i zdolności? Kierunek rozwoju społecznego w tej mierze jest przecież taki, że coraz więcej ludzi trzeba będzie wyżywić w placówkach zbiorowych. Coraz szybciej, smaczniej, higienicznie. Uzyskując to nie podwyżkami cen, lecz sprawniejszą organizacją pracy, stosowaniem nowych urządzeń, szukaniem tańszych surowców.

Przykład gastronomii wybrany jest zupełnie przypadkowy. Można by wiele innych. Bicie się w cudzą pierś należy dziś do powszedniości. Sytuacja polityczna zmusza nas do tego — tłumaczy się pokutniecy neopolityczni. Jeśli przy tym nie wystrzeżają, co w ramach swoich możliwości robili dla zahamowania negatywnych zjawisk, mogą podejrzewać, że dotychczasowe wystąpienia podwyżek są nie intencjami, a też sytuacją polityczną, że gdyby sytuacja polityczna zmuszała do podwyższenia cen obiadów — przeproszą za uprzedzenie — uczyniliby to chętnie. Byliby by w kursie, na linii, byle utrzymać się kłami, nie wypaść z podągu — postępując się słowami MAJ-a. Stracić twarz, ale nie stracić ciepłej posady. Zresztą nikt nie wylatywał na bruk. W najgorszym przypadku traślała mu się posada mniej ślana.

Ludzie, którzy przywykli nieustannie potakiwać, bić brawo i śpiewać „sto lat”, potakują znów, a jeśli nie klaszczą i nie śpiewają, to tylko dlatego, że nowe kierownictwo niechętnie owym efektem. Jeśli za-

tem mamy dyskutować „odważnie i rozważnie”, zachęmy jeszcze do dyskusji poważnej. To znaczy do mówienia „tak”, mówienia „tak, ale...” i mówienia „nie”. Dyskusja to przecież nie śpiew chóru. I jeśli ma być uczciwa należy mówić nie tylko o błędach kierownictwa, lecz i błędach własnych.

Zacząłem od spraw nie najwyższej rangi państwowej, lecz lokalnych, mniejszych. Każdy obywatel ma prawo mówić o prympcach. Każdy ma jednak obowiązek realizowania pochodnych od prympciów. Tego, co w jego mocy i zakresie. Nawet na najniższych szczeblach drabiny społecznej.

Istne szaleństwo zapanowało w lubelskich sklepach, gdy 15 lutego zaczęto sprzedawać przecenione odzież i obuwia. Są pewnie osoby, które kupowały wiedzione oczwim pędem. Na ogół jednak nikt rozsądny nie wyrzuci kilkuset złotych na nie pierwszej mody wyroby tylko dlatego, że potaniały. Jeśli kupuje, to znaczy kupuje coś, co jest mu więcej lub mniej, lecz potrzebne. Rynek był zaspokojony i dlatego towary leżały na półkach — twierdził od dawna kierownik handlu w mieście. Sądząc z tłoku w sklepach dnia 15 lutego i następnym, nie było to prawda. Albo więc towary te były za drogie w stosunku do swej wartości, albo też klient nie był w stanie kupić ich po dawnej cenie.

Opinia publiczna w Lublinie dawno dopominała się o gruntowną przecenę. Postulaty tego typu można było spotkać m.in. na łamach „Standardu Ludu”. Handel ma sumy przeznaczone na przecenę — to z nich skorzystano przy ostatniej operacji, a nie z żadnych dodatkowych funduszy. Dlaczego nie dokonywał tej przeceny wcześniej? Potrzebna była aż decyzja Warszawy? A przecież magazyny były od dawna zawałone, obroty kiepskie i wiadomo było, że im wcześniej się te towary wypchnie, nawet z pewną stratą, tym mniej straci.

Rok temu można było obniżyć cenę niemodnych butów z importu z 450 na 300 zł. Obecnie sprzedawano po 150. Jeszcze rok czy dwa, trzeba by oferować po 80 zł.

Lublin ma wiele swoich bolących spraw ogólnomiejskich, może trudniejszych niż inne miasta. Nie dostawaliśmy od lat przydziału dostatecznej liczby pojazdów dla komunikacji miejskiej. Pretensja do władz centralnych słuszna. Lecz do kogo mieć pretensje, że żaden wóz MPK nie ma kompletu lampek sygnalizacyjnych, od których w dużej mierze zależy bezpieczeństwo jazdy? Nie pasażerowie je ukradli. Gineły w MPK zaraz po nadejściu nowych pojazdów. Drobiazg, a jak ważny. Lublin jest szary i smutny. Nie mamy pieniędzy na nowe neony, ale dlaczego nie są one istniejące? Dlaczego nie są dostatecznie konserwowane? Nie mamy pieniędzy na unowocześnianie nawierzchni ulic, ale dlaczego jezdnie i chodniki są tak brudne, zabłocone? Wystawę sklepów przy Krakowskim Przedmieściu strasza eksploatowaniem pomiętej odzieży. Na Buczka, Lubartowskiej i 1 Maja, głównych arteriach, prywatne kramiki naciskają klientów na tandetę. Uryna śmieszki okoliczka każdego prywatnego sklepiu spożywczego na przedmieściu, bo w sklepikach tych głównym towarem jest piwo z beczki; piwo działa moczopędnie, lecz sklepikarz zainteresowany jest proporcją plany i piwa, a nie udostępnieniem klientom pisuaru, zaś władze wydają zezwolenia na spóżywanie piwa w sklepie, nie zwracając uwagi na urządzenia sanitarne.

Lublin jest miastem sennym, nudnym. Wystarczy jednak odważniejsza, choć nie najlepsza moim zdaniem, wystawa fotograficzna aktów kobiecych, wystarczy jakiś kabaret, jakaś próba niezwykłości, a znajdują się ludzie urażeni, zagrożeni, utracą ją. Nic dziwnego, że nikt nie kwapi się do poważniejszych inicjatyw.

Stare kierownictwo, poprzednia sytuacja polityczna — to były czynniki robzące w wielu sprawach atmosferę. Uczciwy człowiek, odpowiedzialny działacz powinien jednak mieć swoje zdanie i próbować forsować je zawsze, nawet kosztem narażenia się. Bogu co boskie, a cesarzowi co cesarskie. Dziś co rusz ktoś umywa ręce. Piłat Poncki nie awansował jednak nigdy do grona świętych.

Wiktor Loboda



Fot. A. Polakowski

Rafał Wojaczek

Perspektywa — erotyk

twoje ciało moje dzieło z gliny glodu
wyrzeźbione fantastycznie czułym dłutem
przeżyłymi dloni tętna świetna lampą
serca w pełni znakomicie oświetlane

gdy poruje niewidzialnym światłem ciepła
twoja skóra się wydaje być jak ciepła
widzę cypel sutków spina parabola
stromie tęczy za tą bramą mi nie znana

jeszcze bliżej twarz lecz blisko piąstka pięty
gdy podnosisz nogę długa perspektywa
nieskończonej łydki uda miłowego
ile metrów warg mieć trzeba by całować
Wrocław

Andrzej Samson

Nasze mieszkanie

Ustawimy wszystko
tak żeby było
przytulnie
i funkcjonalnie

Pod oknem będzie złość
zła jak zły duch
w kącie zazdrość
w złoczonej klatce
oraz lęk i niepokój
po obu stronach drzwi

przy łóżku
na wyciągnięcie ręki
umiescimy czułość i uległość
nieufnością
pokryjemy deski podłogi
a ściany
pomalujemy nadzieją

Dopiero po tym wszystkim
wejdziemy do naszego mieszkania
na dziesiątym piętrze
ptasiego lotu

uzupełnić wnętrza
miłością

Międzyrzecz

Józef Fert

cerkiew włodawska

Kryta

z gołgoty w puste okna trwa
krzyża na ziemię zstąpienie

— jakby bas
— może siwiutkiego diaka
brodzi jeszcze po kątach

pyłu puchar

słońce dzwoni w szkła
złote cienie roztrąca

— niebo płynie przez sufit
— stygnie pajęczyna

Włodawa

Koniec teatru

Miroslaw Derecki

2 WRZESNIA 1939 roku w Lublin ugodziły pierwsze bomby. Padły na teren Lubelskiej Wytwórni Samolotów S. Piłatego i T. Lańkiewicza, na dzielnicy Kołmierek, ulice Bychawska (obecnie Kunickiego) i Pawia. Zginęło około 300 osób.

A wieczorem Teatr im. Juliusza Słowackiego, niedoszły Lubelski Teatr C.O.P.-u, dawał przedstawięnie. I znowu, jak w dniu wybuchu wojny, publiczność nie zawiodła. Nie była już wprawdzie tak liczna jak pierwszego września, ale jednak... Tego dnia i następnego — bo od 4 września zawieszono na pewien czas przedstawienia — aktorzy nie grający w sztuce zajęli stanowiska obserwacyjne na zewnątrz budynku teatralnego, aby w porę ostrzec scenę i widownię o ewentualnym nalocie.

Drugiego dnia wojny wypadły imieniny żony dyrektora Strachockiego, Stefani. Obchodzono je skromnie, późnym wieczorem, po zakończeniu spektaklu, w mieszkaniu dozorcy teatralnego na parterze, od strony ulicy Pszowskiej, tam, gdzie dzisiaj mieści się portiernia i szatnia dla aktorów. Strachocki był niespokojony o los teatru w Łucku. Chyba zaraz następnego dnia po imieninach żony wyjechał do Łucka. Nieoficjalnie zrezygnował z dyrektorstwa, teatr pozostał w rękach aktorów, którzy nie mieli się gdzie podziąć. A aktorów wciąż przybywało. Z falą uchodźców napływali do Lublina także artyści scen warszawskich, a gdzie mieli szukać schronienia jak nie w teatrze... Wtedy to Irena Ładosiówna przy pomocy żony dozorcy teatralnego, Janowej, zorganizowała bezpłatną kuchnię dla uchodźców. Codziennie wydawano w teatrze kilkadziesiąt obiadów.

Mimo wojny, mimo codziennych nalotów, Lublin stał się miastem rojnym i gwarnym jak nigdy dotąd. Na ulicach, oprócz bezimiennych rzeszy uciekinierów, obok zwiększającej się z dniem każdym masy wojskowych, widywało się osoby zajmujące czołowe stanowiska w kraju. 5 września Wódz Naczelny wydał rozkaz utworzenia armii „Lublin”, na której czele stanął generał dywizji Tadeusz Piskor.

Gdy Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom, nastroje wśród ludności znacznie się poprawiły. Z godziny na godzinę oczekiwano wiadomości o zbrojnej interwencji aliantów na zachodzie.

Rankiem 8 września w teatrze pojawił się Stefan Jaracz. Przybył

do Lublina wraz z ojcem i córką, Hanką, będącą w ostatnich dniach ciąży. Towarzyszyli im: Stanisława Perzanowska, Chmielewski, ich córka, Marymont i Daniłowicz. Potwornie zatłoczonym pociągiem jechali z Warszawy ponad dwie doby.

Wyjeżdżając z Warszawy, opuszczając swoje Ateneum, myślał Jaracz o kontynuowaniu pracy w Lublinie, o skompletowaniu tutaj zespołu aktorskiego i wystawianiu sztuk. Podobnie jak dyrektor Strachocki uważał, że w obecnej sytuacji jest to nie tylko jego zawodowym, ale także obywatelskim obowiązkiem. Lublin miał, ostatni raz dał tutaj gościnnie występ 20 czerwca 1936 r., grając w sztuce Sominia „Zamach na ministra”. Miasto nie posiadało wówczas stałego teatru, a budynek teatralny stał opustoszały i zaniedbany. Teraz w Lublinie rezydowała już znaczna „kolonia” aktorska, Jaracz dowiedział się o ambitnych planach organizacyjnych i repertuarowych teatru.

Zamieszkał wraz z ojcem i aktorem Daniłowiczem nieopodal budynku teatralnego, w domu stojącym u zbiegu ulic Peowiaków (obecnie Pszowskiej) i Kollataja, na pierwszym piętrze. Córkę, Hankę, skierowano do szpitala, gdzie wkrótce urodziła dziecko.

Już następnego dnia po przybyciu do Lublina Jaracz był świadkiem największego bombardowania miasta. Wielki nalot rozpoczął się 9 września o godzinie 9.30 rano i skierowany był na centrum Lublina. Zginęło kilkaset osób. Niemiecki atak powietrzny zaatakował Jaracza w popularnej kawiarni Rutkowskiego. Bomby ominęły kawiarnię, ale spadły na położony kilkadziesiąt metrów dalej, obok poczty, budynek. Pod gruzami zginął znajdujący się właśnie w zakładzie fryzjerskim, Józef Czechowicz.

Po tym nalocie mieszkańcy Lublina zaczęli opuszczać miasto, kierując się na wschód. Ci, którzy zostali, starali się wynieść jak najszybciej od centrum. Jaracz z ojcem i Daniłowiczem przenieśli się do willei stojącej na końcu Alej Racławickich, przy rogatce warszawskiej. Miejsce wydawało się spokojnie i bezpiecznie. W niedalekiej przyszłości miało się okazać, że trafili z deszczu pod rynek.

Mimo że teatr zawieszony w tych gorących dniach przedstawienia, stanowił on stale miejsce spotkań rozsiadanych po mieście aktorów. Zresztą część aktorów mieszkała także w samym budynku teatralnym, w garderobach. Tutaj, w mieszkaniu dozorcy Janowej, go-

dzinami dyskutowano na temat sytuacji politycznej. Prawie codziennym gościem na tych zgromadzeniach był Stefan Jaracz. 13 września wieczorem przybył też na wesele pary aktorów: Ireny Ładosiówny i Józefa Klejera. Ślub odbył się w kościele pobornardyńskim, niemal pod bombami, tego dnia Lublin przetrwał kolejny nalot: zostały zburzone domy przy Kruczej, Narutowicza, Orlej i Okopowej.

14 września sztab i kwatera armii „Lublin” opuścili stolicę województwa kierując się w stronę Frampola. Poprzednia koncepcja obrony została zaniechana. Teraz powstał cywilny Komitet Obrony Miasta z komendantem, majorem dyplomowanym Tadeuszem Linkiem na czele. Żałoga miasta składała się z naprzecde formowanych oddziałów złożonych z żołnierzy rozbitych jednostek, z ochotników, harcerzy...

15 i 16 września od strony Opola — Kraśnika atakowało miasto jednostki 14 dywizji 10 armii niemieckiej. Przez te dwa dni na przedpolach Lublina, w okolicach rogatki warszawskiej, trwały zażarte walki. Willa, w której szukali spokojnego

schronienia Jaracz, jego ojciec i Daniłowicz, znajdowała się cały czas pod silnym ogniem nieprzyjaciela. Tym bardziej, że obrońcy urządzili właśnie tutaj stanowisko karabinu maszynowego.

Dwie doby aktorzy spędzili w piwnicy. Ściany wili dygotały od wybuchających w pobliżu niemieckich pocisków artyleryjskich i granatów. Jaracz opowiadał później kolegom, że w tych pełnych grozy godzinach nie brakło i momentów humorystycznych: w piwnicy znalazł się między innymi dozorca domu, człowiek nie odznaczający się abitynią odwagą. Szykując się — jak uważał — na rychłą śmierć, przez cały czas głośno odmawiał modlitwy, wzywał na pomoc Boga i wszystkich świętych. A równocześnie przy każdym silniejszym wybuchu w słowa modlitwy wplatal wiązanki najstraszliwszych przekleństw miotanych pod adresem Niemców.

17 września — ze względu na beznadziejną sytuację — żałoga miasta wycofała się w kierunku Łęcznej. Do bezbronnej już teraz Lublina wkroczyła armia niemiecka.

Józef Korzeniowski

MAJSTER i CZELADNIK

Komedia w 2 aktach

OSOBY:

| | |
|---|----------------------|
| Pan Szarucki | STEFAN JARACZ |
| Pań Szarucka, jego żona | Irena Ładosiówna |
| Basia, ich córka | Halina Buyno |
| Kasper Szczęśliwy, czeladnik pana Szaruckiego | Ludwik Barda |
| Pan Łękałki, na-wrony przyjeździec p. Szaruckiego | Stanisław Daniłowicz |
| Młody | Roman Tański |
| Nieznajomy | Józef Maliszewski |
| Gieruchoda | Bysard Janiszewski |

Rzecz dzieje się w Warszawie

Reżyseria: STEFAN JARACZ

Dekoracje: Jarosław Łukawski

Dokończenie ze str. 1

Absolwenci krajowych uczelni teatralnych, którzy z takich czy innych względów zdecydowali się na osiedlenie w Lublinie, mogą być pewni, że miasto nie zepsuje ich moralnie nadmierną troskliwością. Owszem, teatr zapewni im mieszkanie: w hotelu, albo w kłitkach macierzystego obiektu, albo w tzw. kwaterze prywatnej, za której wynajęcie płaci zresztą suma wysoka. Znane trudności lokalowe Lublina tłumaczą tę sytuację, lecz w nikłym stopniu ją usprawiedliwiają. Powiedzmy sobie bowiem otwarcie, że jeśli chcemy mieć dobry zespół teatralny nie tylko na dziś i jutro, musimy zapewnić jego członkom elementarne możliwości trwałego związania się z miastem i także warunki życia. Problem ten można by rozwiązać, budując dom aktora, przewidziany zresztą w starym projekcie z lat pięćdziesiątych. Gdyby podliczyć koszty dotychczasowej polityki „kwaterunkowej” teatru, proponowane rozwiązanie mogłoby okazać się wcale ekonomiczne.

Wspomniany już sejmik wypowiedział się również za budową hali widowiskowej, ośrodka telewizyjnego i pawilonu wystawowego. Dość przecież rozsądnie akcentując poszczególne pozycje tego rejestru potrzeb kulturalnych Lublina. Najbardziej z nich konieczna, czyli hala widowiskowa, wejdzie niedługo w stadium realizacji — po latach jednak oczekiwania w długiej kolejce spraw do załatwienia.

Sejmik spodziewał się także szerzego nit dożad mecenatu przemysłu nad plastyką, w tych swoich oczekiwaniach zawładzając się przecieć okrutnie. Zakłady przemysłowe Lubelszczyzny, jako żywi partnerzy naszej sztuki, ujawnili się w zasadzie tylko raz, w 1966 r., kiedy

to puławskie „Azoty” zorganizowały historyczne już I Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców.

Plastycy, a mamy tu na uwadze głównie indywidualności twórcze, niezbyt dobrze czują się w Lublinie. Zasadniczym powodem tego samopoczucia jest niemożliwość otrzymania pracowni — w przyzwolonym okresie czasu. Związek skupia dziś ponad 100 członków, jest więc najliczniejszym stowarzyszeniem twór-

czym miasta. Około 30 z nich stara się aktualnie o przydział pracowni, w większości nie mając nadziei na rychłe ich otrzymanie. Okazuje się bowiem, że niektóre spółdzielnie mieszkaniowe szybko zapomniały o zarządzeniu nr 34 z 1968 r. Ministerstwa Budownictwa, które zobowiązuje do uwzględniania pracowni w blokach mieszkalnych, zawierało nawet wytyczne dla projektantów, określające powierzchnię i standard tych pomieszczeń. Owszem, pracownie budowano, po czym wprowadzano do nich lokatorów nie mających nie wspólnego z plastyką, albo zamieniano na pralnie czy szwalnie. Szczególnie niekorzystnie odbija się to na sytuacji artystów młodych, nie wprowadzonych w środowiskowe układy i znajomości. Niektórzy malarze, niewątpliwie uzdolnieni i ambitni, pracują w zimnych i wilgotnych suterrenach — przygotowując się po ciechu do opuszczenia Lublina. Środowisko plastyczne nie może istnieć jako grupa rzeczywiście twórcza bez dopływu ludzi nowych i młodych, to

prawda oczywista, lecz chyba nie dla wszystkich.

Na „dworcowy” charakter Lublina składa się szereg jeszcze przyczyn, wśród nich odnaleźć łatwo momenty obiektywne, związane ze specyfiką rozwoju kultury artystycznej w ogóle. Skupienie środków masowego przekazu i krytyki artystycznej w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, kieruje twórców do tych właśnie ośrodków, zapewniają-

chwytając nazwisko, sukces, opuszczenie rejonów prowincjonalnej anonimowości. Ale momentów tych nie wolno mitologizować, bo prowadzi to do usprawiedliwienia wszystkich lokalnych braków, nieporadności w kierowaniu kulturą i konkretnych błędów — demonicznych, zdawać by się mogło, siłą metropolii.

Stołecznym straszakiem próbowano na przykład posługiwać się w wyjaśnianiu przyczyn skandalu pod nazwą „kaplica św. Trójcy na Zamku w Lublinie”. Niewątpliwie, wina za obecny stan tego zabytku, mieszczącego freski o najwyższej klasie światowej, spada w dużym stopniu na Ministerstwo Kultury i Sztuki i Zarząd Pracowni Konserwacji Zabytków w Warszawie, ale i nasze władze nie są tu bez bezczynnych skaz. Ostatnie obiekty ten znajduje się na terenie Lublina, pod naszą bezpośrednią opieką, a więc i od nas zależą jego losy. Zabrakło, zdaje się, energii w odpowiednim pokierowaniu sprawą unikalnego i niszczącego zabytku, zabrakło też chyba odwagi i zdecydowania w rozwią-

waniu konkretnych zagadnień, z nim związanych.

Zresztą argument „siła metropolii” traci nieco swoją wagę w obliczu takich faktów, jakich dostarcza od dłuższego czasu Teatr im. J. Osterwy, który pracujący w skromnych warunkach wyrósł chyba trochę nieoczekiwanie dla nas samych, na scenę dramatyczną o znaczeniu ogólnopolskim. Zapytajmy jednak, nie kracząc, jak długo potrafi utrzyma-

Jeśli to suma niewielka i słusznie postanowiono jeszcze z niej nie korzystać. Zbiórka na Fundusz ujawniła przy okazji zrozumienie poszczególnych powiatów dla ważności rozwoju kultury w województwie. Powiat bilgorajski wpłacił np. 18 tys. zł, ale hrubieszowski tylko 2600 zł, opolski 36 tys. zł, lecz łukowski zaledwie 3800 zł. Te dysproporcje absolutnie nie odpowiadają różnicom w zamożności powiatów, ilustrują natomiast stosunek do kultury, społeczną świadomość jej znaczenia w całokształcie naszego życia. Powinno to zwrócić uwagę władz lokalnych przede wszystkim tam, gdzie piękna i potrzebna akcja społecznego wspierania kultury doprowadzona do wykpienia się przysłowiową jałmużną. Jesteśmy bowiem przekonani, że odpowiednia propaganda idei Funduszu, szerokie wyjaśnienie jego celów, może przynieść oczekiwane owoce.

Wojewódzka Komisja Rozwoju Kultury opracowała także plan rozwoju kulturalnego Lubelszczyzny na lata 1971—75, krytycznie jednak przyjęty przez uczestników zorganizowanej przez Wydział Kultury Prez. WRN narady, którzy zarzucili mu ogólnikowość sformułowań, zbędność pewnych sugestii, brak terminów realizacji poszczególnych ustaleń. Słusznie, naszym zdaniem, opinie krytyczne oddaliły zatwierdzenie planu; będzie on poddany szerszej dyskusji.

Wydaje się, że w zweryfikowanym planie nie może być miejsca na opisywanie istniejącej sytuacji i pewnych stałych, od lat rozwiastanych form działania, co aktualnie określa poważny procent jego zawartości, a tym bardziej trzeba chyba zrezygnować z uwzględniania takich „problemów”, jak np. „wypracowanie racjonalnej namaliki Lubelskiej”. Ustalając zasadnicze kierunki działania w teatrze w ich ramach zakreślić hierarchie ważności spraw i proponowanych rozwiązań.

Na jego koncie znajduje się — w rok po otwarciu — 400 tys. zł.

Tego samego dnia okupanci wzięli z miasta kilka tysięcy zakładników umieszczając ich za drutami kolczastymi, pod gołym niebem. Branka objęła również wielu aktorów, między innymi za drutami znalazł się Stefan Jaracz i jego ojciec oraz Józef Klejser. Po tygodniu zakładnicy zostali zwolnieni.

Pierwsze tygodnie okupacji minęły w Lublinie bez większych ekscyzsów ze strony Niemców. Władzę sprawował Wehrmacht, wydana przez naczelnego dowódcę wojskowego, gen. von Brauchitscha, odezwa zapowiadała poszanowanie prawa międzynarodowego. Ludność była przynęcona klęską września, ale też wciąż spodziewano się interwencji z zachodu. Powoli usuwano gruz z bombardowanych domów, w szkółkach wznowiano naukę. Ukazywał się — w zmniejszonym nakładzie i objętości — „Express Lubelski”.

Także w teatrze zaczęto myśleć o wznowieniu przedstawień. Gdy wypuszczono aktorów z obozu dla zakładników, a gmachu teatralnego Niemcy na razie nie zajmowali — przystąpiono do prób. Wznowiona sztuka Niewiarowicza „Dlaczego zaraz tragedia”, którą 1 września inaugurowano sezon teatralny. Grano ją jednak teraz pod zmienionym tytułem: „Miłość i boks”. Poprzedni — nie licował z obecną sytuacją, budził gorzkie reminiscencje. Po kilku wieczorach sztuka zesłała z afisza.

Jaracz był zdania, że właśnie teraz należy dolożyć wazekich starań, aby ze sceny rozbrzmiewało polskie słowo, że powołaniem aktorów jest podtrzymanie ducha u współrodaków. Licząc się ze szczupłymi możliwościami aktorakimi i prawie żadnymi — finansowymi, biorąc pod uwagę więcej niż skromny stan zaplecza technicznego, zdecydował się Jaracz — faktycznie zastępujący nieobecny dyrektora Starachockiego — na wystawienie dwuaktowej komedii Józefa Korzeniowskiego „Majster i czeladnik”, stanowiącej bezpretensjonalny obrazek z warszawskiego Podwala sprzed stu lat. Wziął na siebie wyreżyserowanie sztuki, miał też kreować główną postać — majstra Szaruckiego.

Ostatni raz grał Szaruckiego przed czterema laty. Właśnie „Majster i czeladnikiem” rozpoczął sezon teatralny 1935/36, inaugurował nim zarazem swój powrót do Ateneum. Był wtedy pełen zapału i wiary w przyszłość. W „Wiadomościach Literackich” opublikował „Manifest”, w którym między innymi głosił: „Mimo nieuniknionych błędów nie wydaje mi się, żeby wysilek mój nie miał żadnego śladu w kulturze teatralnej i w tym przekonaniu zaczynam nową kampanię bez żadnej pomocy materialnej...” Premiera odniosła pełny sukces i zarazem stanowiła osobisty triumf Jaracza. Triumf aktorski i triumf dyrektorski.

Współczesny krytyk napisał po tej premierze w „Płonie” o Jaraczu — Szaruckim: „Namiętność pijacka

Dworzec kultury?

WZNACZENIU potoczny, często nawet w prasie, uprowadzenie samolotu bywa określane jako akt piracki. Nie jest to jednak sformułowanie ścisłe. Należy odróżnić akt „uprowadzenia statku powietrznego” (hijacking lotniczy) od aktu piractwa powietrznego — które, mówiąc bardzo ogólnie, jest przestępstwem popełnionym przez załogę lub pasażerów jednego samolotu przeciwko osobom lub rzeczom znajdującym się na innym samolocie. Piractwo powietrzne jest więc określane podobnie jak piractwo morskie (wodne). Piractwo w prawie międzynarodowym uważane jest zwykle za nielegalny akt gwałtu, zatrzymanie lub rabunek, dokonany dla celów osobistych. Uprowadzenia samolotu może dokonać tylko taka osoba lub grupa osób, które znajdują się na pokładzie samolotu cywilnego w czasie lotu. Porywaczem zaś jest każda osoba, która na pokładzie samolotu bezprawnie, siłą, groźbą lub przez jakiegokolwiek zastraszenie opanuje samolot i przejmie nad nim kontrolę. Będzie nim także osoba, która usiłuje dokonać takiego czynu lub jej pomocnik. Takie ujęcie „hijackingu lotniczego” wydaje się zrozumiałe, gdyż cywilne statki powietrzne nie są nastawione na zwalczanie aktów przemocy i dlatego wymagają szczególnej opieki prawnej. Ponadto samoloty te nie są zdolne do stawiania oporu ewentualnym przestępcom i nie są gotowe do podjęcia ryzyka walki.

Pozostając jeszcze na chwilę przy kwestiach prawnych należy w skrócie wyjaśnić, że uprowadzenie samolotu w polskim prawie karnym nie jest odrębnym przestępstwem, a wyczerpuje tylko znamiona szeregu czynów przestępczych, jak np. przeciw bezpieczeństwu powszechnemu w ruchu lądowym, wodnym i powietrznym (art. 137 kk z r. 1969), groźbę bezprawą (art. 166 kk), wymuszenie (art. 167 kk), a także zmniana przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu — w związku ze skutkami groźby. Jedynym chyba i najsurowszym ustawodawstwem, przyjmującym porwanie samolotu jako odrębne przestępstwo, jest ustawodawstwo amerykańskie, w myśl którego (po r. 1961) sprawca może być skazany na karę od 20 lat pozbawienia wolności do kary śmierci włącznie. Sygnatariusze zaś konwencji haskiej (a więc i Polska) zobowiązali się do surowego karania hijackingu lotniczego oraz do wydawania przestępcy państwu, w którym statek został zarejestrowany.

Powtarzając się w ostatnich latach uprowadzenia cywilnych samolotów pasażerskich zmusiły wiele krajów, w tym i Polskę, do zastosowania szczególnych środków zaradczych, mających na celu zapewnienie bezpieczeństwa pasażerów i załóg samolotów. Problem ten stał się przedmiotem dy-

skusji na różnych konferencjach i kongresach prawnych, a także na forum przedostatniej (XXIV) i ostatniej (XXV) Sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Przyjęta przez to Zgromadzenie rezolucja w sprawie porywania samolotów potępiała wszystkie bez wyjątku akty uprowadzenia samolotów i powodowała innych szkód w cywilnej komunikacji lotniczej, zarówno międzynarodowej jak i krajowej, wzywając równocześnie państwa do podjęcia wszelkich kroków i środków prawnych, mających na celu zwalczanie tego rodzaju niebezpiecznych czynów przestępczych. Rezolucja ta doprowadziła w sto-

molotów mnożą się w tak szybkim tempie (tracąc swój dotychczasowy „regionalny”, amerykański charakter), że stały się problemem międzynarodowym i tylko wspólny międzynarodowy wysiłek może doprowadzić do zasadniczych zmian w tym przedmiocie. Hijacking w ostatnich dwóch latach znany jest także w Polsce, kiedy to w sześciu wypadkach dokonano tych aktów wobec statków Polskich Linii Lotniczych „LOT”, a w kilku wypadkach usiłowano ich dokonać. Nie wymaga chyba bliższego wyjaśnienia stwierdzenia, że każde bezprawne zawładnięcie samolotem w locie stwarza poważne nie-

bezpieczeństwo dla pasażerów i załogi. Poza tym wzrasta również zagrożenie ogólnego bezpieczeństwa innych samolotów, jak np. niebezpieczeństwo kolizji w powietrzu, uszkodzenia obiektów na powierzchni ziemi, a nawet i pomyłkowego zestrzelenia samolotu w wypadku naruszenia obszaru terytorialnego państwa, które nie zgodziło się na lądowanie „porwanego” samolotu. Dla ilustracji można się posłużyć przykładami z procesów („wiedeńskiego” i „wrocławskiego”) sprawców porwania polskich samolotów do Wiednia i nieudanego porwania do NRF.

W procesie „wiedeńskim” jeden ze świadków, pracownik lotniska Schwechat pod Wiedniem, podkreślił poważne niebezpieczeństwo, jakie spowodował przyłot nieoczekiwano porwanego samolotu polskiego, albowiem w tym samym czasie miały lądować lub startować cztery inne, przewidziane rozkładem lotów statki. Podobnie było w wypadku próby porwania polskiego samolotu AN-24 (w sierpniu ub. roku) do Hamburga, który szczęśliwie wylądował na lotnisku berlińskim w Schönefeld (NRD). W procesie porywacza tego samolotu (przed Sądem Wojewódzkim we Wrocławiu) znany polski pilot komunikacyjny W. Wiszniewski, zeznając jako świadek, stwierdził m. in., że wszelkie nieprzewidziane czynniki powstające w czasie lotu, ze względu na konieczność podejmowania bardzo szybkiej decyzji, a jednocześnie przeanalizowania parametrów wpływających na możliwość dokonania bezpiecznego przelotu, wpływają ujemnie na załogę, jej wyczerpanie nerwowe i zmniejszenie refleksu. I dalej: „Po-

stępującym trybem, w rękę na pokładzie samolotu (jak to miało miejsce w tym wypadku) — jest wybitnie niebezpieczne... Świadomość następstw prowadzi do dodatkowego wyczerpania psychicznego załogi, co musi odbić się ujemnie na czuwaniu nad bezpieczeństwem lotu...”

Stąd, jak wiadomo, wiele państw i towarzystw lotniczych usiłuje na własną rękę i w różny sposób zapobiegać hijackingowi. Na niektórych liniach pasażerowie poddawani są rewizji osobistej, a ich bagaż jest przewietrzany w celu wykrycia ewentualnej broni czy materiałów wybuchowych. Skonstru-

wano wiele urządzeń mechanicznych, ułatwiających kontrolę pasażerów i ich bagażu. Urządzenia te kilkakrotnie już uniemożliwiły porwanie. Niektóre zaś linie, jak np. amerykańskie, izraelskie, a nawet etiopskie, zastosowały radykalniejsze środki, umieszczając na pokładach samolotów uzbrojonych funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa. Prezydent Nixon zgłosił ostatnio projekt w kalkulowania do cen biletów lotniczych kosztów związanych z wprowadzeniem środków bezpieczeństwa. Podano przy tej okazji, iż w USA szkoli się około 4 tys. specjalnych funkcjonariuszy, mających chronić pasażerów i załogę. Koszt przeszkolenia i utrzymania wyniesie około 100 milionów dolarów. Warto też dodać, że w niektórych państwach członkowie rządu, dyplomaci lub nawet wyżsi urzędnicy podróżują specjalnymi samolotami, aby uniknąć poważnych konfliktów politycznych, np. w przypadku utraty wiezionych dokumentów.

Istotnym zagadnieniem przy tego typu przestępstwach są motywy, którymi kieruje się osoba uprowadzająca statek powietrzny. Od ustalenia motywów uzależniona jest zwykle ekstrapolacja porywacza. Najczęściej można było spotkać się z poglądami, iż hijacking w intencji sprawców wypływa z pobudek politycznych. Poglądy te zmieniają się i obecnie coraz częściej można spotkać twierdzenie, że żadne motywy, a więc i polityczne, nie mogą usprawiedliwiać porwania samolotu celem „ratowania się ucieczką”, jednocześnie narażając życie kilkudziesięciu czy nawet kilkuset pasażerów, nie zaangażowanych w sprawie porywaczy. Nie da się już w ogóle wyluczyć żadnych względami przetrzymywa-

nie pasażerów jako zakładników porywaczy. Jeśli porwanie się uda, o sprawie nie wiezy wiele i nawet, gdy jest on zwykłym kryminalistą, to tzw. „opinia” bywa podzielona. Jeżeli jeszcze jest coś niedopowiedzianego, dwuznacznego i nastąpiła odmowa ekstradycji, wówczas sugeruje się tło polityczne. Porwanie nieudane lub ekstradycja umożliwia dotarcie do prawdy i do wyjaśnienia wszystkich motywów.

Do historii przeszły chyba proces włoskiego porywacza R. Minichello — jako jednego z największych „awanturników” — porywaczy”. Chcąc odwieść ojca w jednej z wioszek włoskich, porwał on samolot odrzutowy amerykańskich linii lotniczych „Boeing 707” wkrótce po starcie w San Francisco, zmuszając pilota do odbycia podróży do Europy (z „przerwaniami” na pobieranie paliwa). Jako żołnierz amerykańskich sił zbrojnych, oskarżony jest przed sądami USA o dezercję i hijacking. Władze włoskie nie wydały go USA i przed sądem włoskim odpowiadał za uprowadzenie pasażerów i groźenie im bronią (skazany został na 15 lat pozbawienia wolności).

Zadne jednak motywy nie mogą stanowić przeszkody w ściganiu i sprawiedliwym ukaraniu sprawców porywania samolotów. Śluszonym wydaje się być pogląd, że porwanie samolotu nie może być uważane za przestępstwo polityczne, a porywacz powinien być zawsze wydany państwu, którego samolot został uprowadzony.

Na zakończenie warto wspomnieć o jeszcze jednej kwestii, którą można sprowadzić do pytania: czy kapitan lub załoga samolotu w przypadku przemocy lub groźby jej użycia powinni zachowywać się biernie, czy też stawiać czynny opór, np. przez usiłowanie obywatela porywacza. Ponadto, czy kapitan samolotu może o taką pomoc prosić pasażerów. Nie wdając się w bliższe rozważania prawne należy jednak przyjąć, że kapitan i załoga samolotu ma prawo interwencji nawet w przewidywanym — jeżeli istnieją uzasadnione przesłanki, że czyn taki może być popełniony. Pasażerowie zaś nie powinni mieć żadnego obowiązku do takiej interwencji.

Pogląd przeciwny, według którego załoga i kapitan (a także i pasażerowie) powinni zachowywać się biernie, jest także częściowo uzasadniony, gdyż łatwiej w ten sposób uniknąć katastrofy lub innych niebezpiecznych skutków tego porwania. W większości dotychczasowych porwań załoga i pasażerowie byli bierni, chyba, że z powodu braku paliwa lub innych doraźnych trudności decydowali się na czynny opór. Stąd pasażer w samolocie zdany jest całkowicie na kapłana, który, podobnie jak na statku morskim, podejmuje wszelkie decyzje związane z bezpieczeństwem w czasie lotu.

Hijacking lotniczy

Edward Skrzętołowicz

sunkowo krótkim czasie do uchwalenia międzynarodowej konwencji o zwalczaniu bezprawnych aktów porywania statków powietrznych. 16 grudnia 1970 r. w Hadze konwencję tę sygnowało 50 państw na 77 uczestniczących w konferencji, w tym wszystkie kraje socjalistyczne oraz m.in. USA, Wielka Brytania, Francja, Kanada, Włochy, NRF, Dania, Brazylia, Japonia i Meksyk. W pracach nad uchwaleniem tej konwencji aktywnie brała udział delegacja polska, zgłaszając szereg propozycji, przyjętych przez uczestników z dużym uznaniem.

Porwanie statku powietrznego jest określane jako „hijacking” lotniczy (inny termin angielski „high-jacking”). Problem ten nabrał znaczenia w latach 1961, kiedy to znaczna liczba samolotów głównie amerykańskich, została uprowadzona na Kubę. Szczególnie zaś ostrości nabrał w latach ostatnich (1969—1970), kiedy to prasa często donosiła o porwaniach samolotów na całym świecie. Statystycznie można to ująć następująco: w roku 1967 — 6 wypadków uprowadzenia samolotów, w r. 1968 — 34 wypadki, w roku 1969 — 88, a do końca 1970 r. — ponad 60 uprowadzeń. Zatem w okresie od 1969 do do końca 1970 r. miało miejsce ok. 150 wypadków uprowadzeń samolotów i 14 aktów sabotażu przeciwko lotnictwu cywilnemu. W ich wyniku zginęło ok. 90 osób, a ponad 60 odniosło rany. Narażono przy tym na niebezpieczeństwo życie około 7 tysięcy pasażerów aż 83 narodowości! Spośród 500 osób podejrzanych o udział w tych przestępstwach, zaledwie około 80 zostało przekazanych wymiarowi sprawiedliwości. Uprowadzenia sa-

bezpieczeństwo dla pasażerów i załogi. Poza tym wzrasta również zagrożenie ogólnego bezpieczeństwa innych samolotów, jak np. niebezpieczeństwo kolizji w powietrzu, uszkodzenia obiektów na powierzchni ziemi, a nawet i pomyłkowego zestrzelenia samolotu w wypadku naruszenia obszaru terytorialnego państwa, które nie zgodziło się na lądowanie „porwanego” samolotu. Dla ilustracji można się posłużyć przykładami z procesów („wiedeńskiego” i „wrocławskiego”) sprawców porwania polskich samolotów do Wiednia i nieudanego porwania do NRF.

W procesie „wiedeńskim” jeden ze świadków, pracownik lotniska Schwechat pod Wiedniem, podkreślił poważne niebezpieczeństwo, jakie spowodował przyłot nieoczekiwano porwanego samolotu polskiego, albowiem w tym samym czasie miały lądować lub startować cztery inne, przewidziane rozkładem lotów statki. Podobnie było w wypadku próby porwania polskiego samolotu AN-24 (w sierpniu ub. roku) do Hamburga, który szczęśliwie wylądował na lotnisku berlińskim w Schönefeld (NRD). W procesie porywacza tego samolotu (przed Sądem Wojewódzkim we Wrocławiu) znany polski pilot komunikacyjny W. Wiszniewski, zeznając jako świadek, stwierdził m. in., że wszelkie nieprzewidziane czynniki powstające w czasie lotu, ze względu na konieczność podejmowania bardzo szybkiej decyzji, a jednocześnie przeanalizowania parametrów wpływających na możliwość dokonania bezpiecznego przelotu, wpływają ujemnie na załogę, jej wyczerpanie nerwowe i zmniejszenie refleksu. I dalej: „Po-

Kim jest Włodzimierz Hess?

N IEMAL sześć lat temu po raz pierwszy zetknąłem się z Włodzimierzem Hessem, a było to spotkanie na tyle niecodzienne, że warło przypomnienia. Jego niezwykłość wynikała z sytuacji, w którą przeróżne i raczej niewesołe okoliczności wmanewrowały Hessa.

W kwietniu 1965 roku dowiedziałem się o otwarciu w lubelskim Klubie „Zamek” wystawy nie znanego mi wówczas plastyka, Czecha z pochodzenia, od lat związanego z Polską, konkretnie z naszym miastem. Ekspozycja gromadziła prace o charakterze dekoracyjnym, wykonane z drewna i metalu, wytworne w formie i znakomicie zakomponowane maski, medaliony, talerze i naszyjniki. Udowadniały ostateczną sprawność warsztatową autora, nie dając się zarazem przypisać do modnej wtedy drobnicy plastycznej, a wyszły przecież spod ręki amatora. Niektóre z nich pod zewnętrzną warstwą dekoracyjnych rozwiązań zdawały się określać, lecz indywidualne w końcu treści, przelamujące beznamiętną stylizację rzeczy stworzonych dla radości oka czy ozdoby mieszkania. Postanowiłem odszukać Hessa.

Kierując się ogólnikowymi wskazówkami, po długim błądzeniu po czechowskich wzgórzach, trafiłem do wilgotnej piwnicy w podziemiach kościoła. Tam właśnie żył i pracował Hess — w otoczeniu niesamowitych rzeźb metalowych. Poznałem człowieka będącego na skraju wyczerpania nerwowego, bezradnego, żyjącego obsesjami mionej wojny, które starał się przynajmniej neutralizować właśnie twórczością. Zobaczyłem rzeźby oguszające szczere, nie liczące się absolutnie z aktualnymi tendencjami w sztuce połowy lat sześćdziesiątych, rzeźby-symbole i opowieści o totalnym zagrożeniu człowieczeństwa. Nie robił ich na zamówienie, na okolicznościowe wystawy martyrologiczne. Były wyrazem wewnętrznej prawdy autora, rezultatem spontanicznego odruchu.

W czasie, kiedy pozycję artysty zwykle się określał na podstawie zbliżenia jego twórczości do obowiązujących idel czy pomysłów plastycznych, kiedy hierarchię zjawisk malarskich czy rzeźbiarskich budowało się z kalendarzem — „on był pierwszy, tamten ostatni!” — i z metrem w dłoń, prac-



ce Hessa nie mogły liczyć na przychylnie przyjęcie przez profesjonalistów. „To literatura” — ucinał sprawę znawcy przedmiotu, pochłonięci malowaniem rzeczy banalnie modnych, albo pacykowaniem sztyłów, reklam, naklejeniem barwnych reprodukcji ikon — wrywanych z radzieckich albumów — na sreżnice „spatynowane” deseczki, które później odnalazł można było na wystawie sklepu „Plastyka”. Jakże zatem stanowisko zająłby dziś, kiedy tzw. literatura odzyskała pełne prawa w plastyce,

Oddział Lubelski Związku Polskich Artystów Plastyków, który kilka lat temu odwrócił się dyplomatycznie od twórczości Hessa?

Po tamtej wystawie Hessa opublikowałem w „Kamieniu” recenzję, zakończoną słowami: „Mówią, że Hess jest amatorem. A jeżeli amator tworzy rzeczy pełne w swym artystycznym wyrazie, to może jest on artystą?” Po sześciu latach przychodzi mi powtórzyć te słowa, bo Włodzimierz Hess, mimo że w jego życiu wiele zmieniło się na lepsze, co zawdzięcza władzom lubelskim, dalej egzystuje na prawach człowieka przypadkowo zabłąkanego w wysokie rejon sztuki. Tymczasem zdążył już zapisać na swoim koncie kilka wystaw w Warszawie i Krakowie, aktualnie przygotowuje się do następnych ekspozycji.

Przez dłuższy czas Hess korzystał z uprawnień wykonywania zawodu plastyka „w zakresie rzeźby”, wydawanych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, które co roku musiał odnawiać. Kłopotliwa to procedura, nie zachęcająca do planowania działalności na dalszą metę. Trzeba bowiem wiedzieć, że specjalna technologia rzeźbiarska, stosowana przez Hessa, jest czasochłonna i ostatecznie kosztowna; chodzi tu przede wszystkim o prace o charakterze dekoracyjno-użytkowym, którym warto poświęcić nieco uwagi.

Prace te — medale, żyrandole, kinkiety, patery, plakietki, zdołne płaskorzeźby metalowe oprowane w drewno — są decydującym argumentem za uznaniem plastycznych kompetencji Hessa. Całkowite opanowanie tworzywa idzie w nich w parze z twórczą inwencją, czerpiącą inspirację ze sztuki ludowej i elementów historycznej kultury artystycznej. Dobrym tego przykładem jest ostatnia większa realizacja Hessa — wielkie, mosiężne żyrandole i kinkiety do odrestaurowanej sali Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Puławach. Poświęcił im Hess półtora roku pracy, dając dzieło bezbłędnie osadzone w klimacie zabytkowej sali i samo biorące udział w stwarzaniu tego klimatu. Poszczególne detale



Fot. Z. Zugał

tych konstrukcji, choćby medaliony z wizerunkami postaci historycznych (na zdjęciach), są przy tym samodzielnymi dziełkami tego gatunku sztuki; każdy z nich, dodajmy, pochłonął kilka dni pracy projektowo-modelarskiej.

Piszę o tym w przekonaniu, że obecna sytuacja Włodzimierza Hessa sprzyja, mimo nowianego talentu i wysokich umiejętności techniczno-technologicznych, od wielu lat pogłębianych i poszerzanych o nowe elementy. Formalnie Hess nie jest plastykiem, faktycznie zaś jest artystą, jedynym w swoim rodzaju na Lubelszczyźnie. Na oba te momenty wypadła mi zwrócić uwagę Oddział Lubelskiego ZPAP, który przy odrobinie realizmu w spojrzeniu na dotychczasowy dorobek Hessa, łatwo może odnaleźć powody do ostatecznego unormowania statusu tego twórcy, do dziś wegetującego poza Związekiem, co do śmieszego minimum ograniczając jego działalność artystyczną, stawiając pod znakiem zapytania dalszą jej kontynuację.

ZASPIEW KRAINY DZIECIŃSTWA

Wojciech Kurhan

O PISANIE tego pojedynku ze światem, tej przygody ludzkiej, która jak najdalej jest od wszelkiej układności, rozpoczął zdankiem nader grzecznym: Edmund Pietryk urodził się w roku 1938 na ówczesnych kresach wschodnich w Orańczycach. Mała to i odległa miejscowość, gdzie jego ojciec był kolejarzem, a też i mała miejscowość, gdzie zwyczajni ludzie białoruscy i polscy żyli, robotnicy kolejowej przeważnie. Zaraz po wojnie fala repatriacyjna pchnęła część polskich rodzin z Orańczy — rodzinę Pietryków także — do Nowego Tomysła w Wielkopolsce, i tu zostali. Sami swoi, choć nie tylko. Tutaj Edmund przykładowie maturę zaliczył, co się z 56 rokiem zbiegło. I odtąd Pietryk zaczął się udzielać szerszemu już światu — raczej intensywnie.

Prasowy debiut poetycki w „Łódzkiej Kronice” (1956), także debiut prozatorski w poznańskim „Tygodniku Zachodnim” (1958). Ukończona edukacja aktorska — PWSTIF w Łodzi (1956—1960). Aktor Teatru Polskiego w Poznaniu (1961—1964). Tom wierszy „Ikonowe dzieci” (1965). Dramat „Dziesiątka”, opublikowany (1966), ale dotąd nie wystawiony. Zbiór opowiadań „Szczerbate koleiny” (1967) — III nagroda w konkursie LSW i ZMW na książkowy debiut prozatorski. Ukończona edukacja reżyserska — PWST w Warszawie (1964—1968); zarazem aktor stołecznego Teatru Współczesnego. Reżyser i aktor Teatru Ziemi Opolskiej (1969—1970). Podczas ostatnich studiów i pracy w Opolu — reżyser na kilkumiesięcznych „gościnnych występach” w Szczecinie, Zielonej Górze, Kaliszu, Kielcach, Częstochowie... Przy tym wszystkim autor czterech nie opublikowanych, ale wystawionych dramatów: „Trzy i pół człowieka” (I nagroda za debiut dramatyczny w konkursie warszawskiego teatru Ateneum), inscenizowany w Koszalinie (1962); „Po północy nie płacz” (Gorzów Wlkp. 1962); „Wieczór białych tańców” (Kielce, 1967); „Hotel” (Opole, 1970). Drugi zbiór opowiadań — „Chilijka ostroga” (1970). Przyjąwszy propozycję Teatru im. J. Osterwy, Pietryk spędza sezon 1970/71 w Lublinie jako aktor i reżyser.

No więc dużo było — kolejno i równocześnie. Intensywna ruchliwość artystyczna, częste wędrowki w Polskę. Albowiem przypadłości zawodowe żywota młodego reżysera i aktora pozwalają zarazem Pietrykowi kompensować — wedle jego określenia — *kieszonkowy kompleks braku biografii* („historycznej”), właściwy zresztą temu pokoleniu. Jest też wielkie ucho na świat, całkiem chyba osobista pazerność na tak zwane życie, przynajmniej na obserwację życia, skoro w okresie poznańskim zdążył jeszcze być przez rok „instruktorem kulturalno-oświatowym” w tamtejszym Więzieniu Centralnym.

Bądź co bądź, jak na chrystusowe lata Pietryka sporo się uzbierało, począwszy od chwili, kiedy on wyrwał siebie z rodzinnego gruntu — zasadniczo wszystko, co dotąd najważniejsze dla faktografii Pietrykowych dokonał artystycznych. Lecz przypuszczam, że zarazem wszystko, co najważniejsze w tych dokonaniach, jeśli nie wszystko w ogóle — to, co indywidualne i co poprzerastane konwencją artystyczną, porządek myślowy oraz niejednokrotnie materia fabularna — wszystko więc ciągnie soki z żywego podglebia psychicznego, które u Edmunda porośnięte pejzazami kresów, zaludnione wschodnią słowiańszczyzną, czyli urobione przez krajinę jego dzieciństwa i dom rodziny. Takie przynajmniej są korzenie i najgłębsze związki prozy Pietryka, a ta przede wszystkim chce się zająć.

On zna wagę tych swoich powinowactw bez wyboru, chętnie przytacza Adlerowski osąd, że mentalność człowieka, korzenie osobowości kształtują się do siódmego roku życia. I Pietryk chce siebie flankować na grunt świata razem z korzeniami. To dlań możliwość optymalna, jedyny autentyczny sposób na bycie, aczkolwiek już w tym tkwi załatek ludzkiego dramatu. Trzeba pamiętać, że *jakiego pnia się wyrosło, inaczej człowiek rośnie bez nóg* — powtórzyłby chyba za własnym bohaterem. Pisarstwo Pietryka, czy w ogóle cała ta twórczość, zawyczały pozornie zbieżny-wizowane, ma tu pełnić rolę pierwszorzędą i unikalną — jako niezastąpiona i ciągła próba uświadomienia sobie przez autora owych najgłębszych jego powiązań psychicznych i rudymentalnych doświadczeń. Próba wszak dokonywana w rozpaczliwym starciu z rzeczywistością, w kontekście współczesnego świata, pokoleniowych rozczarowań i mitów. Więc nie wylania się stąd słowiańska literatura sielska anielska, o nie! Tym bardziej, że na wschodnią słowiańszczyznę prozy Pietryka mógłby z życzliwą pobłażliwością zerknąć sam „zły geniusz” — Dostojewski.

„Ciemna” proza to jedyny dzisiaj pomysł na minimum uczciwości — stwierdził Pietryk w jakiejś naszej rozmowie. Co kwestię z miejsca ustawia, choć prowadzi ją w paru kierunkach, mamy bowiem do czynienia z pisarstwem bogatym, polifonicznym, nawet gdyby zająć się tylko dwoma zbiorami opowiadań. Rozpakujmy wpierym bagaż pokoleniowy.

Ta generacja, która mogła oglądać bezpośrednio czy — poprzez swych smutnych ojców — z bliskiej retrospektywy dziejowe szaleństwa, za żadne nie odpowiadając, bo w żadnym właściwie nie uczestnicząc, ta przeto generacja widzi w historii siłę zewnętrzną, wroga i niszczącą przeciwnego człowieka, który na bieg wielkich wypadków wpływu nie ma, a za każdym zakretem może zginąć lub otrzymać w łeb. I dalej — jeśli nawet historia ma zeruje ostatecznie naprzód, jeśli zakrety się wyprostowują, zbrodnia wreszcie zostaje osiągnięta, a sprawiedliwość historyczna wymierzona, jeśli nawet, to i tak w niczym to nie może uratować pojedynczego człowieka, gdy on już raz, i dla siebie na zawsze, został spodłony albo wyrzucony na pobocze przez jakiś obłądny skręt dziejów.

Roznaite stąd wnioski artystyczne wyprowadziła owa generacja. Między innymi — totalny brak zaufania do wszelkiego kapłaństwa w historii i w literaturze. Oto u Pietryka *Fortynbrans tyran-rezoner* i *Ozyryk biazien-rezoner*, który pozostanie w końcu na urzędniczej posadzce reprezentacyjnego aranzera w rządzie Fortynbransa, budującego potęgę państwa, zaniebującego przy tym pikantne szczygółki kuchni i ciemięzkiego artystów („Rezonerzy”), proza poetycka w zbiorze wierszy „Ikonowe dzieci”. Oto dla narratora jednego z opowiadań najbardziej zeszlające słowo na świecie, a mianowicie — *prawda* (w tomie „Chilijka ostroga”).

Lecz wnioski Pietryka sięgają też bliżej i równocześnie... dalej. Przede wszystkim on fabularnie rozpisuje ów rozdział między jednostką a historią, odsłaniając kullasy i symptomy ludzkiej przegranej. Często pojawiają się w tej prozie człowiek kompletnie zgnojony — nieudacznik, jakiś były kłapo czy sztubowy — którego sprawa jest krótka: *wojna wybuchła w czas jego lat chłopięcych, więc już nie zdążył zapamiętać dzieciństwa; trafił do obozu, do zbrodni i zła zachęcano go wielkimi porcjami kielbasy i chleba; po wojnie zaś to już tylko gnit od środka i nie mógł być uznany przez ludzi, bo w nim nawet nigdy nie było pożaru, w nim od razu było pogorzeliśko*.

Podobna kwestię rozgrywa Pietryk, kiedy zajmuje się — jakże często — *losem przesiedleńców*. *Niedobrze jest, kiedy*



Edmund Pietryk

Passacaglia

W rejonie Marii Naroszcza srebro pogody inieźne — w oknach drewnianych domków warkocze czosnku, szpital gruźliczy, oto dom, który strzegą kamieniem oswojone lwy, pisarzo co godzi środowisk ogród zwierzęcy — stara kobieta przyjmuje garderobę, co robić? Studiuję reżyserię czyli kontrolę projektów na wieczer, rozpaczliwą rzeźbę min naśladowujących świat, lub czytanie aktorów Maleńkie okulary na Karamazowych, futerał firmy „Milk”, pióra, liść zasuszony, kokarda... och — jak źle urządzone muzeum. Przybywam z miasta, gdzie po krzyku szła zawsze krew, czytam je już dobrze, choć jeszcze nie znam się na zegarze, na Nowym Świecie cywilna kopliczka, blisko sklepu z bibliami — jedna druga — och jak źle urządzone muzeum — na gotowe przyszedłem miasto. Omskiy ostrog — rysunek dekabrysty, niskie fotele z wytartym sukniem, zimne piece kaflowe, kaloryfery, bzdury — portrety Rogożyna, Sorni wychudłej od anielskiej dobroci. ...tak proszę pani — zrealizuj Wspomnienia z domu umarłych. ach — publiczność dziś tak cywilizowana, można jej wmówić wszystko...

Po co tu Niekrasow — poeta ze snów wujaszeków, och jak źle urządzone muzeum. Przybywam z miasta, gdzie w centrum szkielety-żelbelty, plany placów — jak w obrazie Pietrowa przyjazd studentki do łepęgo ojca — rona bieli wiecia w zieleni i terakocie, niedokończony obraz — mówi mężczyzna z prowej. W tamtych mieście rdzawe liście wieńców pizy grobach bez imienia — niedokończony obraz... Z okna widok na zgasłe drzewo, jego lektury — Schiller, Racine, Corneille, no — wreszcie Gogol jakoś się mieści. W kacie „Jeanne” pani Sand — w muzeach narodziła zbędnych przedmiotów. Jak źle urządzone muzeum. Tam miasto śmierci wciąż bandażowane, temblaki szkielety-żelbelty, niedokończony obraz... W rejonie Marii Naroszcza wieczerz czernieje jak twarz świętych z Rusi Kijowskiej — Wieczerz w teatrze. Czechow. Ten Rosjanin, kwiat urodzony w najjaśniejszym dniu jesieni, jego ludzie, ptaki broniące się przed godziną odlotu, smutek czajki umarłej na kurtynie. Śmierć mi wymierza listkami ocalałymi z ginących sadów — protokół śmierci znaczy piśmie drobnym, że krew wpływa z niewidomej rany.

W drodze z domu Dostojewskiego Moskwa — Warszawa

człowiek w połowie życia musi wyjeżdżać z miejsca, w którym do tej polówki, lepszej czy gorszej, ale dotrągnął. Wojna jest głupstwem i też się trafia, dlatego ludzie zwracają się do siebie w tych słowach... W śpiewnej mowie tych ludzi jest dużo zgrzytu, można się przerazić, gdy człowiek wsłucha się w ten zgrzyt. Bo gdy wciąż trzeba życie zaczynać od nowa, to po pewnym czasie człowiek zaczyna się czuć jak pogorzeliś. Wewnątrz tych ludzi jest dużo wypalanej ziemi... Wszyscy byli samotni, chociaż samotność nie leżała w naturze tych ludzi, którzy zbyt często musieli rozrywać sobie pierś, by doszukiwać się, by nie gubić własnego tętna, którym zbyt często kazano z dnia na dzień nasiąkać nie znanymi sobie uczuciami.

Takim sposobem pokoleniowa mitologia artystyczna, głosząca niekoherencję między jednostką a historią, przekształca się w bardziej już osobiste pisarskie rozmyślanie o tym, jak to świat niszczy naturalne korzenie ludzkiej egzystencji — albo zanim na dobre zdążył rozrosnąć się i użyć sokami dzieciństwa, albo w bezpośrednim starciu dorosłego człowieka z materią rzeczywistości.

No więc marnieje w ludziach dusza, i to nie tyle jaka — dusza słowiańska, pulsująca ciepłą krwią, otwarta... Zo-

stają jedynie same podroby, pogorzeliśko podrobów, które to resztki zastęgle można wprawdzie chwilowo rozjarzyć gorzalką, ale choć nie zawsze to lakomstwo obraca się przeciw człowiekowi, w tym jednak przypadku człowiek nie powoduje u siebie radości, powoduje u siebie wielkie zmęczenie, a ma oczy smutne jak pies i jak pies nie żona placzu. I wówczas ludzie zaczynają udawać życie, co jest — według Pietryka — największą klęską ludzka, która zresztą przypisuje również, a może nawet przede wszystkim, swojemu pokoleniu, tyle tylko, że z nieco innych niż wyłuszczone przedtem powodów. Do tego jeszcze wróć. Wpierym o tym, co chyba najistotniejsze w tej prozie i najtrudniejsze do uchwycenia.

Przewija się w pisarstwie Pietryka, obok nuty na „nie”, także zaśpiew dramatyczny na „tak”. Oto Chylimicha, żołnierza-dziwoja-mać, bohaterka pozytywna. *Należała do tych bab wszystkich siłujących — ogromnie siłujących i bardzo zmęczonych, ślepym i bystrym, leniwym i siłującym jak sowy i krety*. W cenie jest tylko mocne człowieczeństwo, które autor znajduje u ludzi kresowych. Oni nie chcą żyć powoli, muszą gęsto żyć, potrzebują niezbitych dowodów na pełnię życia, w pijaństwie i kobiecie chcą mieć radość dostawaną, sam jej szpik, tak by na ten fart nie starczyło aż pięciu zmysłów. I nie nie przeszkadza Pietrykowemu „tak”, że są z ludźmi niezdolnych do szczęścia, bo na nie-szczęście nie starcza im dziesięciorga przykazań, że od czasu, gdy siebie pamiętają, jest im ze sobą bardzo źle. Liczy się jedynie ich wielka Wola Życia, albowiem najpiękniej się umiera z samego życia, które jest wtedy czynnem Smutnym lecz Spontanizującym!

Świadomie od jakiegoś momentu gęsto używam cytatów z opowiadań Pietryka, nie próbując sztucznie interpretacyjnych, bo coraz bliżej spraw umykających krytycejskiej racjonalizacji. Jak bowiem określać ten rozmach ciemny i rozpaczliwy, spontaniczne pożądania, wielką potrzebę przestrzeni i swobody, a zarazem tę potrzebę samozatrzaenia i wschodniosłowiański metafizyczny masochizm (*Cheesz tak szybko umrzeć? Pomęcz się przedtem*), jak określać to wszystko, czego Pietryk poszukuje i co odnajduje mocą artystycznej wyobraźni oraz obserwacji, przykladając wielkie ucho nie tylko do świata, ale i do pulsu swego dzieciństwa?

Może ów mroczny zaśpiew słowiański, ów szeroki oddech kresowy dąłoby się częściowo zgłębić w płaszczyźnie języka, który stanowi indywidualną i ważną dystynkcję Pietrykowej prozy. A język to nadzwyczaj dosadny, krwisty i — nie znajduję lepszego określenia — obrazowy, choć czerpiący głównie z potocznych zasobów leksykalnych, np. *rozmołwa jak salceson — wieloma sprawami i zdarzeniami poprzedkładana, ale smakująca zwyczajnie, po prostu, albo taki epitet: świniowate ciepło niektórych dni sierpniowych*. Narrator opowiadania „Przepis na piernik”, opublikowanego tylko w „Miesięczniku Literackim” (1968, nr 11), stwierdza, że *gdy w słowach ubywa soczystości, to i w ludziach też*. A o uratowanie tej soczystości Pietrykowi przede wszystkim idzie. Więc może język? Może również tkliwy pietzym wobec przyrody, a zarazem biologiczne traktowanie życia człowieka, cechy zresztą właściwe większości pisarzy pochodzących z kresów?

Może, może... Szybko się znajdzie jakiś przekłety pedant, który spyta, o, który spyta, co to za kategorie badawcze: może tkliwy pietzym, może soczysty język, rozmach ciemny i rozpaczliwy, metafizyczny masochizm? Właśnie, co to za kategorie? Szczęśliwie, a też i nieszczęśliwie, pewien mądry profesor skonstatował, iż to, co w literaturze poddaje się badaniu, jest niewarte badania, to zaś, co warte badania, nie poddaje się badaniu. Więc kończąc z określeniem jakości racjonalnie nieokreślonych, bo czuję, że zaczynam truć.

W każdym razie Pietryk ceni w człowieku młoda nadzieję i najpierwszą potrzebę szerokiego gestu, *wielkiej pasji — na przekór wszystkiemu*. Powiada bohaterka tytułowej „Chilijkiej ostrogi” — *zawsze sobie powtarzam, że to jeszcze nie koniec, że musi być jeszcze szansa na jakąś bojęczność*. W stałej walce ze światem o uratowanie tej potrzeby rodzą się nasze radosne rany. Lecz nie w rezygnacji.

Swemu pokoleniu wiecznych obserwatorów będzie Pietryk zarzucal właśnie rezygnację z autentycznego gestu, poddanie się zwolnionemu rytmowi historii, życie skocowane i pozorne:

Biernością oglądania, sztuką udawania pęcznią nadziejane główki dyletantów. („Rozmowa z rówieśnikiem”)

Pretensje te mają raczej charakter błędnego koła, lecz to pokoleniowe rozpęknięcie tkwi również w literaturze Pietryka. Bohater z jego generacji nie mógł sobie poradzić ze swoją bezustanną, bezlitosną, brudną zachłannością życia. *Chciał uporczywie napełniać swoje jakieś często puste dni, sklejać je wydarzeniami... Przeklinał siebie za swoją większą chłoność na anegdotę niż na istotę rzeczy*. Tu się już wylaniają refleksy dramatu artysty, kiedy on potrafi tylko nizać anegdoty i „zabawne” fakciki w rodzaju: *Pan wie, z czego się robi cygańskie baty? Z rozciągniętych końskich jajek!* (zawsze wiedziałem, że batogi robi się z samej wysuszonej byczej męskości — no i co z tego?). Albo kiedy on potrafi tylko bezradnie adumieć się i przerazić światem jako śmietnikiem spraw ludzkich, okrutną niszczącą komedią, pełną wrzasku i furii (m. in. „Kto tańczy na wietrze”, „Kadencja na obój” w zbiorze „Szczerbate koleiny”).

Znacznie bardziej wolę Pietryka, gdy on w swej osobistej historii stawia na małą... wielką nadzieję odradzania się poprzez czerpanie soków z podglebia własnej witalnej kresowości. W bezładzie świata usiłuje chronić szalony zaśpiew krajny swego dzieciństwa. Bo wbrew pozorom obiektywizacji literatury Pietryka to przede wszystkim ciałe intymne obcowanie autora z samym sobą, a ostatecznie zbawienie, szansę wielkiej pasji osiąga się tu przez tożsamość twórczości i życia.

Pietryk wydaje mi się człowiekiem jednej sprawy. Na głupie pytanie, kim czuje się głównie — aktorem, reżyserem, dramaturgiem, poetą czy prozaikiem — odpowiada słowami O’Cesey’a: *Wszystko to jest bardzo piękne i bez tego nie potrafiłbym żyć*. Poza twórczością nie ma dla Pietryka innej, ważniejszej formy egzystencji, innego pomysłu na życie. W tym spala się całkiem, albowiem umiarowanie i polowiczność nie są kwiatami, które by rosły na gruncie jego człowieczeństwa. On nie może żyć bież szampanskawo. I to jest najprzedniejsze „szampanskoje”, jakie może sobie zafundować.

Dzisiaj obok ludzi rośnie coraz więcej cwaniaków, a serce u nich jak u kury. Więc podejrzewam, iż Edmund Pietryk, u którego dusza mocno się wykazuje, będzie miał jeszcze kłopoty ze światem, co najmniej takie same, jak świat z nim. Ale wtedy zawsze może liczyć, że wypilemy wspólnie za nasze radosne rany.

DZWON W SPRAWIE MARII

Romułd Wiśniewski

STARA kobieta, zamknięta w ciemnej piwnicy, ze zgrają wygłodniałych psów. Machina wyobraźni przyspiesza obroty. Kim jest naprawdę Maria? Kim była? Jakie sprawy i jacy ludzie zepchnęli ją na dno bytu?

Powiadają, że w małych miastach ludzie wiedzą o sobie wszystko. Być może. Hrubieszów ma 15 tysięcy mieszkańców. O Marii wiedzą dużo.

— Jej mąż był carskim generałem. Po rewolucji uciekli do Polski. Przywieźli worek złota. W 1939 roku tuż przed wojną, wywieźli złoto na wieś i zakopali. Potem, podczas okupacji, żyło im się ciężko i generał poszedł wydobyć worek. Odtąd wszelki słuch o nim zaginął. I ona do dziś rozpacza. Nie za złotem. Za mężem. Dziwne. Pan nietutejszy, prawda?

Tyle kioskarka, zapytana zupełnie przypadkowo. Sporo — i nie zaradem, gdyż Marta, licealistka, przedstawia swoją wersję:

— W żadnego generała niech pan nie wierzy. Ludzie fantazjują. Prawda jest taka: pani Maria pochodzi z arystokratycznej rodziny. Uczęszczała do instytutu dla szlachetnie urodzonych panien, w Kijowie, pod protektoratem córki cara. Następnie znalazła się w Polsce. W pierwszych dniach września 39 jej mąż wyszedł z domu i nie powrócił. Chorowała wówczas na zapalenie opon mózgowych, przechodziła to ciężko, a była zupełnie pozbawiona opieki. Od tamtych przeżyć ma osłabiony system nerwowy. Niemcy skierowali ją do pracy w zakładzie dla psychicznie chorych; zajmowała się kurnikiem. Po wyzwoleniu przyjechała tutaj. Zatrudniła się na kolei przy oczyszczaniu torów.

Marcie należy wierzyć. Pan Mieczysław Kern, jej ojciec, ma duże gospodarstwo rolne w pobliskiej wsi Antoniuki. Maria wydzierżawiła od niego kawałek ziemi i uprawiała na nim warzywa. Tenute dzierżawna splancała pomagając Kernom w pracy na roli. Marta pamięta Marię od czasów, gdy pamięta cokolwiek.

— Nigdy w życiu nie widziałam drugiego takiego ogrodu. Miała w nim wszystko: poziomki, truskawki, porzeczki, szparagi, wiele roślin zupełnie nie znanych. Trudno się nawet domyśleć, skąd sprowadziła nasiona. Pielegnowała to bardzo starannie. Grządki były równe, podlane, wynawożone, ziemię czysto wyplewowano. Jakies znieść czy siedem lat temu powiedziała ojcu, że rezygnuje z dzierżawy, gdyż nie

Reporter przedstawia cel wizyty. — Znam tę kobietę. Każdy w mieście ją zna, z widzenia naturalnie. To nieszczęśliwa osoba. Nie raz rozmawiałam o niej z mężem. Podobno w czasie pierwszej wojny mieszkała w Kijowie. Pielegniarka była? Tego nie słyszałam. Mąż pracował wtedy w Kijowie, lecz nie zetknął się z nią nigdy. Coż, Kijów był dużym miastem. Tu jej też nie znał osobliście. Gdy przeprowadzaliśmy się do obecnego mieszkania, przeglądałam archiwum męża. Nie było w nim nic takiego, co mogłoby pana zaintrygować. Proszę córkę. Częściej spotyka się z ludźmi, może coś więcej słyszała o tej biedaczce...

Kim jest naprawdę Maria? Kto zna tajemnice jej życia? Opowieści ludzkie wykluczają się nawzajem, lub przynajmniej nie pokrywają. Tylko jedno w nich wspólne: że była w Kijowie w czasie pierwszej wojny światowej. I te wygłodniałe psy! Gdyby tak zasląbla, czy broń Boże zmarła, zanim kto się zorientuje, rozszarpią ją na strzępy. Straszne. Straszne, proszę pana, ale coż można poradzić?

Zresztą nie wiadomo nawet, z ilu sztuk składa się sfora. Jedni mówią 15, inni 30. Podobno ktoś zliczył aż 42. Czy to prawda? Jak policzyć?

Stara kobieta zamknięta z psami w piwnicy. Zamknięta od wewnątrz. Dobrowolnie. Sama się zamknęła. Rzadko wychodzi. Psy jeszcze rzadziej — wyprowadzane po kilka na spacer. Żeby je zliczyć, trzeba wejść do środka. A nie wchodzi prawie nikt. Nie dlatego, że psy nie wpuszczają. Nie wpuszcza ona.

— Proszę nawet nie próbować z nią rozmawiać — doradzają mieszkańcy. — Daremny trud. Najwyżej przegoni pana z krzykiem, a może jeszcze dołoży pałą. Nawet doktorowi się nie udało.

Andrzej Błaszka, lekarz psychiatry z Lublina, raz na tydzień udziela porad w Hrubieszowie. Wydział Zdrowia zwrócił się doń o zbadanie Marii. Nie otworzyła mu. Porozmawiali kilka minut przez drzwi i to wszystko. Doktor, pytany teraz o wrażenia z tego nity-spotkania, zasłania się tajemnicą zawodową. W mieście jednak wszyscy wiedzą, że naprawdę badania nie było.

Wszelkie wiadomości w miasteczku rozchodzą się szybko; także i ta, że znów przyjechał ktoś w tej sprawie. Wieczorem w hotelu recepcjonistka pyta: no i dowiedział się pan czegoś? Na ulicy obcy ludzie podchodzą do reportera, przedstawiają się i proponują pomoc, lub po kielichu dla wymiany poglądów.

Historia bowiem głośna. Długo czas była tylko śmieśzna, trochę kłopotliwa. Potem przyjechał niejaki Jan Topczewski, inspektor Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki. Nakazał zamknąć biur Powiatowego Domu Kultury, Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego oraz Muzeum Regionalnego. Po miesiącu zadzwonił z Warszawy, sprawdził, że nie zamknięto, zagroził prokuratorem. Trzeba było polecenie wykonać. Na drzwiach wiodących do tych placówek wisi więc kartka: „Nieczynne do odwołania”. Heca. Już i w prasie były notatki.

Związek Marii z domem kultury, Towarzystwem i muzeum jest taki, że placówki te mieszczą się w kilku pokojach dużego, parterowego, drewnianego budynku, ona zaś zajmuje dwie piwnice pod spodem. Dom stoi na brzegu skarp i jedna z piwnic ścianą południową ma powyżej poziomu gruntu. Można więc tę piwnicę, jak by się kto

uparł, nazwać sutereną — a nikt nie uparł się inaczej. Druga piwnica, przez którą się wchodzi, jest zwykłym lochem, ale taki przedpokój nie stanowi kontrastu.

Symbioza psiarzy z kulturą układa się różnie. Gdy urzędniczy sędzieli cicho przy swych biurkach, dół też zachowywał się spokojnie. Jeśli jednak zaczęli chodzić, lub gdy przyszło kilku interesantów, psy rozpoczęły zbiorowe hau, hau, aż puchły uszy. Poza tym psy pachną po swojemu, dla siebie przyjemnie, jak dla ich opiekunki nie wiadomo, dla nosów innych ludzi wronią trudną do przyzwyczajenia się. Jeśli się do tego doliczy niebezpieczeństwo zarazy i pogryzienia, pani Maria sama do siebie może mieć żal, że PDK i muzeum zamknęło. Tu trzeba dodać, iż żal ona ma i wyraziła go już pani Korczakowej. Piwnice, nie dość że wilgotne, są jeszcze cholernie zimne. Gdy kultura urzędowała, pałała w piecach. Choć na górze, zawsze trochę ciepła dotarło niżej. W dodatku Janina Korczakowa, pełniąc obowiązki kierowniczką PDK, cieszyła się niejakim zaufaniem lokatorów piwnicy. Była więc nieraz przoszona o popilnowanie bawiących się na dworze psów, gdy pani Maria musiała wyjść. Popilnowała, usłyszała podziękowanie. Jeśli zobowiązała się, a potem nie dopilnowała — otrzymywała sztorcowkę. Na punkcie swych zwierząt Maria jest czuła i żartów nie uznaje. Pod tym względem różni się znacznie od innych ludzi, żarty lubiących, zwłaszcza z niej: a to szyby w oknie wylutka, a to drzwi połamią, gdy gospodynę nie ma, a to kawałek kiełbasy podrzuci i parę psów wyprowadzi na tamten świat. Także dzieci lubią się zabawiać. Stara wariatka, krzykną. W drzwi zastuka i uciekną. Z procy do psa strzela. Jak to dzieci. Obok jest kładka na Huczwicę, chodzi się nią z dzielnicy Podzamecze do śródmieścia, zawsze ma kto robić drakę. A jeszcze i sąsiad wpadnie na jaki koncept... Maria zamyka się na cztery spusty i nie odpowiada. Czasem coś tam pojęczy, ponarzeka. Ale bywa, że wpadnie w złość, goni z kijem i przeklina.

Dom, choć to parterowy drewniak, jest obszerny, mieszczą się w nim jeszcze cztery mieszkania prywatne. Inspektor z Warszawy mieszkańca zamknął nie nakazał, bo to nie jego sprawa. Gdyby kto inny był mądry i powiedział, że skoro nie może przez psy być czynne muzeum, to i ludzie nie mogą mieszkać, musiałby znaleźć tym ludziom inne lokum. Proste, nie? Dziwnym trafem najbliżsi sąsiedzi żyją dość zgodnie z pani Marią. Za to z dalszymi jest różnie.

— Panie, pan z Liablina? Tak myślał, że pan z Liablina. Pannie, ratunku! Co tu zrobić? Ja jej raz powiedziałem, że durna z tymi psami to ona za matczykę i lubudu, kapszykiem w moje odziewera. Tak lubudu kapszykiem i lubudu, całe odziewera mi pobliwszy — skarzy się reporterowi w kawiarni wysoki, tegi mężczyzna w starszym wieku. Zaciąga się spokojnie kresowym akcentem. Przybyszowi wydaje się, że wszyscy tu mówią jednakowo, ale miejscowi odróżniają doskonale, kto śpiewa po hrubieszowsku, kto po lwowsku, kto po wołyńsku, i kto zgola nie kresowiak, a wiłniuk.

Więc wyśpiewują o Marii, a każda pieśń inna. Ze była kniahiną. Ze popadła. Ze bohaterką afery szpiegowskiej. Ze... A nade wszystko, że jest zdrowo stuknięta. Dał jej doktor wariackie papiery, czy nie, i tak wszystko jasne. Normalny człowiek trzyma jednego psa, dwa, no — trzy, nie więcej. Za sanacji do hrabiego w powiecie

przyjeżdżała artystka z Warszawy. Miała cały samochód jamników, codziennie mytych i perfumowanych. Hrabia kochał ją przez to, sam też trzymał psy do polowania. Co innego hrabia czy artystka, co innego dziadów, zbierająca na ulicy najgorsze bezpańskie kundły, zaparszywałe, zdychające. Hyla ma tupego. A jeszcze wymyśla sobie inne głupoty. Raz, że to ona wynalazła jakieś konserwy czy przetwory, kiedy indziej, że jest właścicielką drzewonów cerkiewnych, to znów szuka kogoś z rodziny... Takiej komedii jeszcze w Hrubieszowie nie było.

Po dwóch dniach słuchania można zaryzykować spotkanie z Marią. Choć styczeń, temperatura wspaniała. Do PDK wiedzie pochyla, gruntowa ścieżka. Reporter ślizga się w błocie, z trudem utrzymuje równowagę. Wreszcie ten dom. W bocznej ścianie, ukryte do połowy w ziemi, połamane drzwi z desek i kawałków blachy. Obok sterta kości.

Puk, puk, puk, puk. Chwila ciszy, a potem zaciekłe ujadanie na wiele głosów. Jeszcze chwila, szக்கanie zamiera, słychać kobiecy głos uspokajający te psy, gdzieś zaganiający.

Puk, puk, puk. — Kto tam? — Ja do pani. I nagle za drzwiami rozlega się przejmujące zawołanie:

— Ludzie, odnajdźcie mego brata, Dyonizego! Jemu tam bieda, a ja zrobiłam wynalazki różne, niech mu prostawo wypłaci pieniądze... Ludzie...

— Pani Maria, ja do pani. Chciałem porozmawiać.

Znów chwila ciszy, przzerwana pojedynczym szக்கnięciem, a potem pytanie zupełnie spokojnym tonem:

— Kim pan jest?

Reporter wsuwa wizytówkę w szparę w drzwiach i jednocześnie przedstawia się.

— Przyjechałem specjalnie do pani! Miło mi panią poznać.

— Mnie również miło. Czym mogę służyć?

Drzwi uchylają się. W szparze ukazuje się starsza kobieta. Nad ziemią widać tylko górną połowę ciała. Na głowie ma chustkę, włosy lekko siwawe, na twarzy nieco zmarszczek, żeby chyba własne. Jest to twarz kobiety, która niedługo musiała być piękną.

Reporter, zaskoczony zrianą powitania na formę salonową, zastanawia się. Przykuca.

— Przyniosłem leb wołowy na obiad dla psów. I chciałem porozmawiać...

— Teraz jestem zajęta. Niech pan przyjdzie za dwie godziny. Dziękuję za leb, niepotrzebnie pan kupował, szkoda pieniędzy.

Za dwie godziny to samo pukanie, głosy psów i krzyk — ludzie, odnajdźcie mego brata...

— Niech pani przestanie. Mieliśmy porozmawiać...

— Ach, to pan korespondent. Już drzwi otwierają się. Gospodynę wdrapuje się na zewnątrz.

— Proszę nie pomagać, ja przecież codziennie tak wychodzę.

Na sobie ma wyszmelcowaną do granic możliwości kufajkę, grubą, zniszczoną spódnicę, nogi w gumowych kamazach. Ręce splekane, posiekane. Ręce czarno pracującego człowieka.

— Patrzy pan na moje ręce? Jak bylam młoda, dbalam, teraz zupełnie nie mogę. Tyle psów nakarmić.

W poszukiwaniu szans teatralnych

Dokończenie ze str. 1

Jest to dzisiaj jeden z problemów najwyżej interesujących każdego, komu leża na sercu losy sceny dramatycznej. Nie też dziwnego, że tegoroczny Międzynarodowy Dzień Teatru będzie obchodzony właśnie pod hasłem „Teatr a TV”. Temu również tematowi ma być poświęcone projektowane kolokwium międzynarodowe (z lokalizacją w Polsce).

Wśród kół miłośników teatru znakomitą większość stanowią dżi z natury rzeczy miłośnicy teatru TV. Jednak telewizja, która odbiera sporo widzów teatrowi żywego planu tam, gdzie on jest, staje się skądinąd potężnym jego sojusznikiem już wskutek tego, że szerzy zainteresowanie teatrem w ogóle. Rozporządza ona różnymi możliwościami popularyzacji teatru żywego planu: w kronice kultural-

widzowie Warszawskich Spotkań Teatralnych, miał znacznie więcej walorów na scenie niż na ekranie.

Popularyzacji wybitnego przedstawienia tej czy innej sceny służyłoby skuteczniej w tym czy innym zakresie „prestrzennym” (bodaj na obszarze danego województwa) — pokazy wybranych scen, nadających się „żywem” do telewizyjnej i opatrzonej odpowiednim komentarzem, taka pars pro toto zachęcająca do obejrzenia całości.

Ochodząc już z braku miejsca „na łamach” od tematu TV, powróćmy z uporem maniaka: pilnie jest dzisiaj potrzebna teatrowi szeroka dyskusja społeczna. W chwili, gdy piszę te słowa, członkowie Klubu Krytyki Teatralnej wiele sobie obiecują po spotkaniu z przedstawicielami ministerstwa Kultury i Sztuki w siedzibie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Warszawie.

Gustaw Holoubek, udzielając wywiadu redakcji kulturalnej PAP, jako prezes SPATF-u, powiedział, że został już opracowany przez SAPIT projekt nowej organizacji teatru, zmierzający do uczynienia go „bardziej funkcjonalnym, bardziej elastycznym”. Wiąże się to m. in. z aktywizacją rad teatralnych, z podniesieniem ich rangi poprzez wprowadzenie do ich składu czynników społecznych. Rada powinna być

współodpowiedzialna, zaznaczył G. Holoubek, za wszystko, co dzieje się w teatrze, łącznie z polityką kadrową.

Oby nareszcie, po tylu latach nieistnienia, bądź fikcyjnego istnienia rad teatralnych! Jest rzeczą jasną, że do rad muszą być wybierani ludzie myślący nie o sobie, lecz o teatrze.

Ocena wykorzystania zespołu. Nie dalej jak w Lublinie jest parę dobrych aktorów, których nazwiska w Chórze „Protesilasa i Laodamii” przypomniał mi o zdumieniu: byłam pewna, że dawno opuścili to miasto.

Niemalże znalazł się w rzeczywistości teatralnej anomalii wymagających poprawy.

Jeżeli teatr ma się stać „autentyczną szkołą aktora”, trzeba dać aktorowi parę godzin dziennie dla pracy nad sobą. Nie, to nie telewizja, nie film staje na drodze tego elementarnego obowiązku artysty — film i telewizja przyczyniają się do wszechstronnego rozwoju jego warsztatu — to nadmiernie rozbudowany plan objazdowy. Sądzę, iż plany objazdowe powinny stopniowo ulegać redukcji przy systematycznym nasileniu dowodu terenowych widzów do siedziby wojewódzkiego teatru.

Czynnik kierujący polityką kulturalną mają niewątpliwie dostateczny autorytet, by pomóc dy-

rekcjom teatrów państwowych dojść do efektywnego porozumienia ze związkami zawodowymi i kierownictwami zakładów pracy w sprawie systematycznych dojazdów członków załóg na spektakle, w sprawie zakupów całych przedstawień i indywidualnych abonamentów.

Na niedawnej konferencji w Rzeszowie dowiedzieliśmy się z przykrością, że 40 proc. robotników nigdy nie było w teatrze. Wiem, ze swej strony, że od 1 stycznia br. nie wpłynęło do organizacji widowni Teatru im. J. Osterwy w Lublinie ze związków zawodowych ani jedno zamówienie na spektakl. Podobno kierownictwa zaabsorbowane są sprawami bytowymi.

Ten stan „przykrótkiej koldry” powinien się skończyć. Nie wolno nam wracać do założeń etapu, na którym połów słoniny trzymał prym przed kulturą. Wypadnie może w tłumaczyć temu czy owemu kierownikowi, że w relacji: poziom kulturalny — wydajność produkcji zachodzi sprzeczność wzrobie.

Dla zrównoważenia budżetu teatru wojewódzkiego niezbędne jest posiadanie drugiej sceny, pozostającej na różnicowanie repertuaru. Odnosząc uwagę do lubelskiego Teatru im. Osterwy musimy stwierdzić, iż wznowienie mikroscenii „Reduta 79” nie rozwiązuje problemu, zaspokaja jedynie w pewnym miarze ambicje artystyczne. I to już jest coś, ale radykalna naprawa sytuacji od tej strony wymagałoby oddania do dyspozycji Teatrowi Oster-

Nie jestem taki brzydki

Andrzej Kuźmierkiewicz

NIE smakowało mi wcale to świąteczne śniadanie, chociaż powinno smakować, bo matki z komitetu rodzicielskiego chodziły między stolami rozstawionymi na całej sali gimnastycznej i bardzo uprzejmie zapraszały do jedzenia. Ale mnie było niedobrze, ponieważ kakaó było strasznie słodkie, zupełnie jakby ktoś nasypał do niego sacharyny. Może to nie była sacharyna, bo od końca wojny nie widziałem tych maleńkich pastylek, jednak nie nie wiadomo, bo przecież ktoś mógł mieć jeszcze poniemieckie zapasy i jak tylko ktoś nie patrzył, wrzucał je do kotła, w którym było kakaó, żeby oszczędzić trochę cukru. Przez tę słodycz niesłodkie i zupełnie bez smaku.

Niepotrzebnie więc biegłem z kościoła do szkoły. Wszyscy tak biegli jak stado głodomorów. Nikt nie pamiętał, że po komunii trzeba iść powoli i parami. Biegły nawet te dziewczyny, które na pewno trzymały jeszcze w ustach święte opłatki i dlatego miały takie święte miny. Bardzo głucho musiały wyglądać taka kupa dziewczyn w białych anielskich sukienkach i chłopaków z białymi kokardami przy rekawach pedzających ulicą na lew, na szyć.

Gdybym wiedział, że po pierwszym łyku zrobi mi się mdło, to bym w ogóle nie biegł, tylko szedł powoli, tak żeby inni przez ten czas wypili to kakaó. Bo innym smakowało i nikt nie wyglądał na takiego, któremu jest mdło.

Najszybciej swoją porcję wypił Czapa i przyglądał się mojej szklance, a na jego czerwonej twarzy nie było żadnego śladu po świętej komunii. Podsunąłem mu kakaó i on je natychmiast wypił. Nie było mi wcale żal, kiedy słyszałem jak przełyka.

Potem weszliśmy na scenę i fotograf zrobił nam pamiątkową fotografię. Wszyscy na tej fotografii dobrze wyszli, tylko ja jeden źle, a to dlatego, że usiadłem tuż za kierownikiem szkoły, który swoją głową zasłonił moją głowę, tak że widać mi było tylko czoło i jedno oko. Więc widać było nie moją twarz, że źle wyszedłem, po prostu mało mnie było widać. Ale i tak miałem szczęście, bo jak bym usiadł za księdzem, to bym ze wszystkim zniknął za jego głową, która była chyba ze trzy razy większa od głowy kierownika.

Po wyjściu ze szkoły pojechałem z mamą do jednego dobrego fotografa na Pragę, żeby mi zrobił dwa zdjęcia. Jedno jak stoję przy stoliku, na którym widać święty obrazek, i drugie jak siedzę i trzymam w złożonych dłoniach książeczkę do nabożeństwa. Takie dwa zdjęcia powinien mieć każdy.

Fotograf ustawiał mnie długo. Kazał uśmiechać się i trzymać prosto głowę albo nie uśmiechać się i przekrzywić głowę. Widać było, że jest dobrym fotografem. W końcu zrobił te dwa zdjęcia. Kiedy po paru dniach przyszliśmy do niego, dał nam dwie fotografie, na których wcale nie byłem ja, tylko nie wiadomo kto. Mama, jak to zobaczyła, najpierw się zezłościła i powiedziała, że to są bardzo złe fotografie, a potem się zmartałła, gdy fotograf powiedział, że fotografie nigdy nie kłamią i że to nie jego wina, że ja tak źle wyglądam. Więc wróciliśmy do domu z tymi fotografiami, na których byłem ja, ale nieprawdziwy, bo bardzo brzydki.

W następną niedzielę, która już była normalną niedzielą, znowu ubrałem się w granatowy garnitur, białą kokardę włożyłem do kieszeni i pojechaliśmy do innego dobrego fotografa, który jeszcze przed wojną fotografował moją mamę. Tym razem już nie chciałem mieć dwóch zdjęć, ponieważ się bałem, że znowu będę się musiał martwić i wstydić, ale potem żalowałem, bo na tym jednym zdjęciu wyglądałem bardzo dobrze, nawet moją powieść, że byłem bardzo ładny, więc nie musiałem się wstydić, tylko się cieszyłem, a gdybym miał dwa takie ładne zdjęcia, to bym się cieszył znacznie więcej. Zdjęcie było takie dobre, że niektórzy mówili, że to nie jestem ja. Ale to byłem ja, tylko bardzo ładny. I nikt nie powinien myśleć, że fotograf zrobił nieprawdziwe zdjęcie. Ja naprawdę jestem taki ładny, kiedy nie jest mi smutno albo mdło, albo kiedy nie chce mi się płakać. Tamtej pierwszej niedzieli było mi mdło po tym śniadaniu, a poza tym od rana martwiłem się, jak należy wysunąć język, żeby nie zosłonił ręki księdza, który będzie mi podawał sakrament. Nic więc dziwnego, że po takim myśleniu i po takim śniadaniu brzydko wyglądałem.

Niedługo potem przyjechał do nas jeden wujek, i mama, nie wiadomo dlaczego, pokazała mu wszystkie trzy moje fotografie. Ja zawsze trochę bałem się tego wujka, ponieważ on bardzo szybko mówił i bardzo niewyraźnie, tak że niewiele rozumiałem i zawsze mi się zdawało, że on mówi do mnie coś nieprzyjemnego. I z tego powodu musiałem zawsze brzydko wyglądać przy tym wujku. Więc on, oczywiście, od razu powiedział, że ta dobra fotografia jest złą, a ta złą jest dobra. Mama aż się rozplakała, tak ją zabolalo, że wujek uważa mnie za takiego brzydaka. Jednak wujek się uparł i ciągle potarzał swoje, i chciał mieć te brzydkie fotografie. W końcu dał się namówić i wziął także tę ładną, ale na pewno nie uwierzył, że ona jest prawdziwa. Trzy razy musiałem napisać, że to jest pamiątka dla wujka i cioci. Podpisywanie swoich nieprawdziwych fotografii, tak jakby były prawdziwe, to nie przyjemnego, dlatego pisząc te dedykacje, byłem zły i smutny i pewnie znowu brzydko wyglądałem, tak że wujek mógł sobie pomyśleć, że racja jest po jego stronie.

Tak jak wujek myślał prawie wszyscy. Oni myśleli, że fotografie nie kłamią i więcej nie chcą wiedzieć. Nie myślał w ogóle o tym, że czasami może być mi źle, że na przykład może mi być mdło, albo że mogę być smutny. Kiedy jest mi źle, jestem brzydki i wtedy jestem nieprawdziwy. Więc co z tego, że fotografie nie kłamią, jeżeli jestem nieprawdziwy. To prawie tak, jakby kłamały. Dlatego później zawsze starałem się, żeby moje brzydkie fotografie nie upadły w nieczyję ręce. Gdy przychodziłem od fotografa z nowymi zdjęciami, zamykałem się w ubikacji i oglądałem je dokładnie. Jeśli były ładne, to wychodziłem z nimi i dopiero wtedy pokazywałem, a jeśli były brzydkie, to darłem je w drobne strzępki i topiłem w kloazecie.

Alle czasami któraś z brzydkich fotografii wymykała mi się. I wtedy znowu było mi bardzo nieprzyjemnie, gdy widziałem, jak wszyscy, patrząc na tę fotografię, myślą sobie o mnie wszystko najgorsze. Na pewno byłoby im głupio, gdybym powiedział: ja nie jestem taki brzydki, tylko czasami jest mi niedobrze, więc dlatego tak wyglądam, ale odbyło się to nie wtedy, tylko wtedy, gdy zobaczylibyście, jaki jestem, byłbym ładniejszy od was wszystkich. Na pewno byłoby im głupio wtedy. Ale nigdy tego nie mówiłem, bo jestem nieśmiały.

Parę minut milczącego namyślenia się.

— Pan korespondent pewnie myśli, że tak lubię psy? Otóż nie. Nawet nie lubię. Wolę konie. W Kijowie najmowałam za 5 rubli konia i jeździłam wierzchem. Zbięram psy, bo mi ich szkoda. Są chore, głodne, u mnie odzija. I nie tak skuczo samej.

— Pani Mario! A czy pani nie niszczy tym sobie przedwczesnie życia? I czy psom nie jest źle u pani? Nie dojadają, lamie je reumatyzm.

— Patrzy przez moment pytająco i nagle zaczyna zawodzić.

— Ludzie, odnajdźcie mego męża, Braclawski. Ja wiem, że on ma nową żonę. Nie będę przeszkadzać. Tylko dopomóżcie, jak dostanę pieniądze za wynalazki!

— Kpi? Ucieka w swój świat uludy, lepszy od rzeczywistego? Uwierzyła weni?

— Biedna kobieta, mnie jej szkoda. Fakt jest jednak, że swą działalnością doprowadziła do zawieszenia pracy PDK — powiada następnego dnia reporterowi sekretarz Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, Józef Szymański. — A nam narobiła też bigosu. Proszę przeczytać — pokazuje pismo.

Powiatowy lekarz weterynarii, Joachim Wierchosławski, zawiadamia MRN, że Maria Braclawska nie przyprowadziła psów na obowiązkowe szczepienia przeciwko wściekliznie. Nie wyraziła też zgody, by zaszczepiono je u niej, na miejscu, bezpłatnie. Lekarz zaleca, by Braclawska postawiła przed kolegium karnym i tą drogą nakazała jej zaszczepienie psów w ciągu trzech dni. A jeśli nie zgodzi się, poddać psy likwidacji z zastosowaniem przepisów o ochronie zwierząt. Sztuki nie zaszczepione przekazać Aleksandrowi Michalczewskiemu, agentowi „Bacutilu”. Obecni powinni być przy tym przedstawiciel władzy administracyjnej i przedstawiciel milicji.

— No i co? — pyta reporter.

— Głupio robić urzędową naradę w sprawie psów. Zebraliśmy prywatnie zainteresowanych. Wtedy prokurator powiedział: panowie, róbcie, co uważacie, ale te psy to dla niej wszystko. Jeśli ona przy tym postępowaniu umrze na atak serca, ja rozpocznę kroki prawne.

— Jak można było dopuścić, by staruszka mieszkała lata w takich warunkach? — nalega reporter.

— Widział pan, ile ruder jest w Hrubieszowie? W roku 1968 remontowaliśmy ten dom. Chcieliśmy zrobić jej piec, założyć elektryczność, powiększyć okno. Nie zgodziła się. Powiedziała, że i w mąłym wybijają szyby.

— Nie myśleliście o daniu jej innego mieszkania?

— Mówiłem już: sytuacja lokalowa jest katastrofalna. Szczerze jej współczuję. Ona jednak i do kawalerki z łazienką przyprowadzała psy. Awantura byłaby jeszcze większa. Ludzie wybaczą 42 kochanków, ale nie 42 psy.

Znów spotkanie z Marią. Reporter mówi, że wyjeżdża.

— Zrozumieliśmy do środka. Nie mogę. Mebli nie mam żadnych. I balaganu psu robią. Jak by pan był dłużym, uproszkodowałbym.

Zmierzył. Zaczyna padać deszcz. Dziwny styced.

— Ham, ham, ham, ham — niesie się z wielką kofeliną. Do-a-o-bry Jezu, a-na-a-naz Pa-a-a-nie... Ulica idzie potrzeb.

— Mnie też pewnie niedługo zadzwonią — rzuciła Maria. — Jak pan myśli, dużo ludzi ucieszy się? Spadnie im kłopot z głowy.

— Ham, ham, ham, ham.

Psy zaczynają wyć jak oszalałe.

— He pani ich ma? — Dwadzieścia siedem. Dawniej było więcej. Złi ludzie wytruli. Pan wybaczy, że nie proszę do środka, psy robią straszny balagan.

— Czym pani je karmi?

— Kupuję kości, czerstwy chleb i gotuję tanie zupy. Z tego tba narobić galarety.

— Skąd pani bierze pieniądze na to?

— Pani Szczupakowska załatwiła mi 730 zł miesięcznie. Nie chciałam przyjąć, ale ona powiedziała, że to od państwa, za te moje wynalazki. Ja wymyśliłam różne konserwy domowe.

— Co pani sama jada? — pyta reporter.

— To, co psieki. Nie jestem wymagająca. Ja dobrze gotuję, smacznie. Tylko czasem mnie już nie wystarcza, bo jest tu jeden taki sąsiad, który na złość kradnie mi zupę.

— Po co go pani wpuszcza do środka?

— Nie wpuszczam. Od siebie z mieszkania kradnie, magnesem elektrycznym.

— Pani Mario, proszę nie opowiadać głupstw. Rozmawiamy poważnie.

— Niech pan przyjdzie jutro. Zmęczymy się. Do widzenia.

Nazajutrz rozmawia się gorzej. W nocy ktoś wylał odchody pod drzwiami do piwnicy. Maria jest wzburzona. Opowiada chaotycznie. Ma gonitwę myśli.

Przybysz musi przerywać, zwracać do głównego wątku. Maria z trudem poddaje się dyscyplinie, lecz przecież ze słów jej tworzy się logiczna całość.

Urodziła się w roku 1898 w Zaliwańszczyźnie pod Kamieńcem Podolskim. Rodzice mieli 6 mórg ziemi i sześcioro dzieci. Wyszła ja do Kijowa, do ciotki, właścicielki dużego zakładu krawieckiego, na naukę fachu. Zamiast tego, ciotka zrobiła sobie z niej bezpłatną pomoc domową. Wujek był urzędnikiem, powodziło im się dobrze. Maria poznała tajniki prowadzenia zamkniętego domu, dobrej kuchni, zasad higieny, nabrała oglady. Tylko zawodu nie zdobyła. Gdy zaczęła się wojna, podjęła pracę pielęgniarki w szpitalu wojskowym. Kierownikiem administracyjnym szpitala był Stanisław Braclawski. Im dłużej trwała wojna, tym więcej widziała krwi, rannych, zmarłych. Strach ją ogarniał. A potem strach przed rewolucją, że znowu będzie krew, cierpienie, śmierć. W domu ciotka bano się rewolucji. W 1918 Maria wyszła za mąż za Braclawskiego, znacznie starszego od niej i wyjechali do Polski.

— Ja nie spieszyłam się do ślubu, ale miałam już dość tej walki. Braclawski był Polakiem. Od ślubu jestem Polką i rzymsko-katoliczką. Panna by mnie nie puściła do Polski, bo ja z rusińskiej rodziny. Ojciec nazywał się Hończoruk Nikita. Prawosławny. Matka z domu Homoniuk, Anna. Z rodziny włoskich ogrodników, którzy z Boną do Polski przyjechali. Nazywali się z łacińska Homo, a jak osiedli na Rusi, przerobili na Homoniuk. W Zaliwańszczyźnie dziedzic miał cukrownię, szkołę, była cerkiew. Matce się z tego należał spadek. Teraz te dzwony są w Hrubieszowie i nikt mi za nie nie zapłacił. Chcieli mi kiedyś dać w zamian majątek pana Kuropatnickiego, albo pałac do Chateau, nie dali. Rząd mi dużo winien.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

— Mam. Łecze chrzanem. Znam domowe metody. Obok jest kawałek ziemi niczyjej. Zasożyłam ogródek. Ziola mam.

wy zabytkowego budynku teatralnego (obecne kino „Staromiejskie”), o czym dawno już pisało się i mówilo aż do upadłego.

Omawiając dalej sprawy lokalne w kontekście ogólnokrajowym, zazwyczaj się ściągnięciem na siebie anatemę, lecz wypowiedź tu pewną myśl. Oto ona: kosztowne mnożenie zawodowych placówek teatralnych dalaoby się przy trudnej koniunkturze ekonomicznej gdzieś niedługo zastąpić ich translokacją.

Przykład?

Przed paru 5-letkami rozprawiano „miarodajnie” w Lublinie i Warszawie o potrzebie wybudowania nowoczesnego gmachu dla Państwowego Teatru im. J. Osterwy. Stala już nawet w hallu starożytnego budynku teatralnego śliczna makieta nowego. Po jakimś czasie wyniesiono ją dyskretnie do lamusa, by nie kłusa w oczy teatromanów. Ale Bogiem a prawdą, na cóż dziś Teatrowi Osterwy nowy, reprezentacyjny gmach, skoro nie zdola sprzedać codziennie 593 miejsc starej widowni?

Pytanie to brzmi najwiecej dla lublinianina, który wie, że na zwolnienie starego budynku Teatru Osterwy czeka od lat niecierpliwie Operetka lubelska, działająca z poświęceniem w warunkach subwencyjnych w Garnizonowym Domu Oficera. Zapytam więc jeszcze: dlaczego by ten teatr muzyczny,

przed którym wieczorami widzi się „sznur” autokarów terenowych, nie miałby dojść do porozumienia z władzami Chełma, miasta Manifestu PKWN, i zamienić dotychczasową niedogodną siedzibę na chełmskiej Dom Kultury, posiadający salę widowiskową, jakiej Lublin mógłby mu pozazdrościć?

Przy końcu niniejszych rozważań nasuwa się nieuchronnie jeszcze jedna uwaga generalnej natury.

Zanim propaganda TV na rzecz teatru żywego planu i wszelkie inne możliwe środki jego popularyzacji odniosą taki skutek, że teatry zdolają stać się finansowo samowystarczalne bez użycia dla ambicji artystycznych, może, po odpowiedniej korekcie instytucjonalnego planowania finansowego, udałoby się dojść do systemu kompleksowego finansowania teatralnego tego typu, przy którym obiektywnie uzasadnione niedobory tego lub innego teatru dramatycznego kompensowano by nadwyżkami uzyskiwanymi w przedsiębiorstwach rozrywkowych. Byłoby to system niejako wzorowany na założeniach zakładów ubezpieczeń.

Proszę wybaczyć, ale chcę na serio krzycieć w społeczeństwie kulturę teatralną wypęda na jakiś czas wyrzec się analogii do zakładów produkcyjnych sensu stricto. I wreszcie sugestia już zdecydowanie „pod anatemę”. Trudno, odwagi!

Otóż myślę, iż niebagatelne rezerwy finansowe znalazłoby się... w ZAIKSie. Postulowałabym zatem utworzenie Funduszu Teatralnego na wzór istniejącego już Funduszu Literatury. Ewentualny nowy fundusz składałby się z tantiem pobieranych za adaptacje i inscenizacje utworów klasyków oraz innych niezwykłych autorów, którzy nie mają spadkobierców. Z tego funduszu byłoby wypłacane m. in. adaptatorom jednorazowe honoraria, proporcjonalne do włożonej pracy. Jest bowiem zjawiskiem rażąco niesłusznym, by autor adaptacji na użytek widowni młodzieżowej pobierał obfite tantiemy, sięgające czterokrotnie dziesiątków tysięcy, podczas gdy adaptator, powiedzmy, „Ulisses” musiał zadowolić się tantiemami znacznie skromniejszymi z przyczyny znikomej liczby zrealizowanych przedstawień.

Gros funduszu rozchodowało by się na dofinansowania, festiwale itp. Nie mniej ważna byłaby sprawa zaostreżenia kryteriów przy upoważnieniu do adaptacji dzieł klasycznych, ale to już temat wymagający oddzielnej, głębszej analizy, tak jak kwestia ewentualnej rewizji zasad akceptacji i honorowania tekstów wokalnych.

Szukajmy, szukajmy rezerw!

Maria Bechzyć-Rudnicka

Chodlik - 8 hektarów historii

Zygmunt Mańkowski

W 1909 roku archeolog-amator, niestrudzony szperacz i badacz zamierzchłej historii przywiślańskiego regionu Lubelszczyzny, kanonik Antoni Chotyński, przypadkowo natrafił na ślady prehistorycznych większych skupisk osadniczych w rejonie wsi Dratów, Trzciniec, Zmiłowiska i Chodlik. Pełno tu kamieni polnych — relacjonował w piśmie „Światowit” w 1911 roku — oraz kawałki gliny wypalanej lub suszonej ze śladami słomy czy trawy. Kamienie są często przecinane na płask... Obok tej stacji na gruncie bagnistym znajdują się tzw. „szwedzkie okopy”, składające się z 3 spółśrodkowych wałów, wysokich około 3 stóp, a zajmujących przestrzeń około 3 morgów...

Przez dalszych 40 lat, mimo tak istotnego dla archeologów sygnału, wspartego informacją o odkryciu śladów neolitycznych obozowisk oraz starej ceramiki, nikt nie zainteresował się tym bliżej. Dopiero w 1952 roku Muzeum Archeologiczne w Warszawie zorganizowało ekspedycję pod kierownictwem ówczesnego kierownika działu epoki brązu Aleksandra Gardawskiego. Początkowo podjęła ona badania w Trzciniecu, gdzie oprócz zabytków kultury trzcinieckiej znalazła wyraźne ślady „kultury pucharów lejkowatych i kultury lużyckiej”, a następnie dorywczo przeprowadziła sondazowe wykopy w Chodliku, w miejscu, wskazanym przez Chotyńskiego.

Tak zaczęła się fascynująca historia odkrycia „osadniczego zespołu” w Chodliku. Poprzedziły ją benedyktyńskie prace przygotowawcze — analiza zdjęć lotniczych, dawnych map, obserwacje szaty roślinnej, kwerenda materiałowa itp. Bezpośrednie prace badawcze w terenie rozpoczęły się naprawdę dopiero w 1959 roku i od tam systema tyżnie przez 10 lat pracowały tu kolejne ekspedycje (główną inicjatywę przejął ośrodek lubelski UMCS), odkrywając coraz nowe warstwy kulturowe, świadczące o niezwykłym znaczeniu stanowiska, które ze względu na wagę problemów naukowych nie dało się porównać z żadnym z ówczesnych większych odkryć archeologicznych w kraju. Ekspedycje zdumiał przede wszystkim obszar grodziska — przeszło 8 hektarów gruntu! „Jest to olbrzym w porównaniu z innymi” — oświadczył później A. Gardawski.

Sensacje wywołały głównie zupełnie nowe możliwości datowania odkrytych skorup ceramicznych — VI—VIII wiek, zamiast spodziewanego końca wieku IX! I jeszcze jedna sensacja. Dotychczasowy stan badań nad dziejami Słowian stwierdzał, że w VII—X w. obszar między okolicami Krakowa a dorzeciem Nidy zamieszkiwali Wiślanie, a inne znane z dokumentów obcych z początku wieku IX plemię Lędzian jeszcze przed kilkunastu laty usadowiono daleko w Wielkopolsce koło Ładu nad Wartą. Dopiero przed paru laty zaczął ich umiejscawiać na Sandomierszczyźnie prof. Lowmiański.

Tymczasem ekspedycje pracownicy zbierają dane archeologiczne i starannie analizują badania historyczne, wysuwając pierwsze hipotezy: plemię Lędzian sięga dalej na wschód niż wskazuje to wspomniany prof. Lowmiański, wybitny autorytet w tej sprawie. Dalsze badania w Chodliku nie tylko weryfikują tę tezę, ale posuwają się znacznie dalej. Wielkość osady chodlickowskiej i wiele innych dowodów wskazuje wyraźnie, że po prawej stronie Wisły nie tylko ujawniły się wpływy tego plemienia, ale że właśnie tu istniały jego główne, kierownicze ośrodki administracyjne i osadnicze. Hipotezy te wśród znawców problemu i badaczy spotkały się początkowo z dużym sceptycyzmem. Na specjalnej konferencji naukowej, poświęconej tej sprawie, a zorganizowanej w Lublinie w listopadzie 1962 roku, prof. A. Gardawski nie poddał się, a nawet poszedł dalej, stwierdzając, że „gród chodlickowski” posiada powiązania z siedmiowiecznym państwem Samona. Obalil również zastrzeżenia co do poprawności datowania znalezisk ceramicznych. Konferencja w Lublinie zainspirowała dokładniejsze badania w tej sprawie, a dziś, po dziesięciu latach, datowanie to znalazło uznanie powszechne. Przyczyniły się do tego ośrodki: łódzki oraz krakowski, w pełni potwierdzające słuszność hipotez lubelskich archeologów.

Tymczasem poszukiwania na terenie Chodlika trwały dalej. Zbadano obronę konstrukcje grodziska, układ i jakość zabudowań, odkryto ślady wielkiego zabudowania o charakterze jakby sakralnym. Wszystko to pozwoliło na stwierdzenie, że w samym grodzie



Zarys wałów obronnych grodziska w Chodliku z VIII wieku

Fot. z helikoptera K. Biełmin

w kolejnych fazach stało przynajmniej 300 domów... a ogromnie rozległe osadnictwo na przyległych polach można było zinterpretować jako ślady osad, liczących dużo ponad 1000, prawdopodobnie chyba aż około 2000 domów, zamieszkałych przez kilka tysięcy osób. Tajemnica grodu w Chodliku ulegała coraz bardziej rozszyfrowaniu. W 1970 r. wydawnictwo Ossolineum opublikowało pracę A. Gardawskiego pt. „Chodlik — wczesnośredniowieczny zespół osadniczy” (nakład 540 egzemplarzy!) i książka ta stała się swoistą sensacją wydawniczą.

Właśnie plemię Lędzian — pisze on — jest tym organizmem plemiennym, zresztą składającym się z całego szeregu drobniejszych grup, w którym funkcję jednego z centralnych grodów czy ośrodków administracyjnych środkowopółnocnego Powiśla pełnił, zdaje się, ogromny ośrodek osadniczy, badany przez nas w Chodliku... Ośrodek ten, żywy i dynamicznie się rozwijający w wieku VII, kiedy plemiona lędziańskie wespół z innymi mogły ewentualnie wejść w skład Państwa Samonowego lub innej organizacji federalnej tego typu, rozwijał się w wieku VIII nadal, stanowiąc centrum organizacyjne dużej polaci Lubelszczyzny. Wydaje się jednak, że u progu formowania się nowych organizmów państwowych w IX wieku owo centrum uległo rozbitciu czy zagładzie. Na jego miejsce powstało kilka grodzisk i osad, które nie miały tego charakteru centralnego, jaki posiadał Chodlik. U progu wieku IX Chodlik spada do rzędu drobnych osad z niewielkim grodzkiem. Wyrastają inne ośrodki, które rzucają już do innych centrów, położonych dopódy w nowych podziałach gospodarczych i politycznych... Jest nim Lublin, który od tam rolnic nieprzerwanie w duży organizm gospodarczy, przeradzający się stopniowo w organizm typu miejskiego. Nie musimy dodawać, że jest to teza o dużej wadze poznawczej nie tylko dla historii Ziemi Lubelskiej.

Dotychczasowy stan badań w Chodliku pozwolił na ustalenie kilku zasadniczych faz osadniczych. „Gród centralny” powstał w VI wieku na starym szlaku komunikacyjnym, obok dawnego głównego nurtu Wisły, prawdopodobnie przy brodzie, w miejscu ze względu na dorzecza Wisły, rzeki Chodel i Chodelki niedostępnym i otoczonym bagnami. Już wówczas otoczono go wałami i palisadami. W wieku VII i VIII został on rozbudowany i umocniony (zajął wówczas obszar ponad 8 hektarów), a wokół niego powstały liczne „podgrozdowe osady”, w tym rybackie. U schyłku wieku VIII „gród centralny” upada, a nowo powstałe centrum osadnicze składa się z mniejszych i większych skupisk osadniczych, rozrzuconych w dużym paśmie od wyżyny kazimierzowskiej i przeprawy naprzeciw Janowca, poprzez rozrzucone osady w Kłodnicy, Zmiłowiskach, samym Chodliku, dalej na południe aż poza Chodel w stronę grodziska w Leszczynie pod Urzędowem. W wieku X—XI następuje zupełny upadek tego osadnictwa. Rozpoczyna się nowy, średniowieczny okres historyczny.

Praca Gardawskiego ma charakter w pełni naukowy. Autor analizuje w niej tylko to, co odnaleziono lub stwierdzono. Hipotezy dotyczą spraw ogólnych, mieszczących się w granicach naukowego poznania. Zrozumiałą jest rzecz, że nie próbuje więc on dać odpowiedzi na wiele pytań, które pasjonować mogą przeciętnych czytelników: jak wyglądali Lędzianie, jak się ubierali, jakie było wyposażenie ich domostw, jakich czcili bogów, czym się żywiłi, jak wyglądała społeczna organizacja ich życia, jakim dysponowali uzbrojeniem, jakimi narzędziami pracy się posługiwali, na jakie wyruszyli wyprawy, z kim handlowali i czym itd., itd? W tej mierze autorowi w sukurs pospieszyć by chyba mogli jedynie pisarze i fantazjodolcy. Być może, że i na to przyjdzie czas.

Ekspedycje chodlickowskie pracowały w niezwykle ciężkich warunkach. Podłoże naszych ziem (a szczególnie chodlickowskie) oraz tworzywo materiałnych przedmiotów są bezlitosne dla archeologii. W ziemi po wiekach pozostają jedynie barwy gruntu, kamienie z palenisk, szczątki skorup, ceramiczne paciorki, zardzewiałe ostrogi, bojowe czekany, grotty żelazne i ostrza, przeliki, nadpalone bale drewniane — i to właściwie wszystko. Do kłopotów dochodził jeszcze ciągle brak subwencji i właściwego zrozumienia. Półną jesienią 1961 roku — wspomina autor — nastąpiło barbarzyńskie zniszczenie najlepiej zachowanej części wału środkowego na długości kilkudziesięciu metrów. Od początku naszych badań najstarsi mieszkańcy Chodlika wspominali o legendzie, która mówiła o zakopaniu przez powstańców 1863 roku w obrębie „okopów szwedzkich” całej brzojki ze złotym skarbem. Nieuczestni poszukiwacze skarbów wykopali 8 ogromnych dziur, które zniszczyły większą część najlepiej zachowanej resztek spalonego wału. Dajmy jednak gwałowi uczciwości, że nie wszyscy tak postępowali. Gdy pewnego lata odwiedziłem prof. Gardawskiego w czasie prac w Chodliku, zastałem tam młodzieńca szkolną z Bełżyce pod kierownictwem swego nauczyciela, grzebiącą się wespół z członkami ekspedycji w brudnym, tłustym i smolistym „le”.

Badania nad chodlickowskim zespołem osadniczym nie zostały zakończone (można by raczej powiedzieć, że weszły dopiero we wstępny fazę prac). Należałoby zrobić wszystko, aby je kontynuować. O ile wiem, zespół prof. A. Gardawskiego jest do tego gotowy. Tylko kto pokryje koszty dalszych badań?

Wyniki prac archeologicznych w Chodliku oraz opracowanie A. Gardawskiego dodają namemu regionowi wyjątkowego splendoru i chwały. I to jest godne podkreślenia.

KRZCZONÓW jest miejscowością z pięknymi rzeczywistymi tradycjami. Ponieważ to była dawniej wieś królewska, przeto ludzie swobodniej tu żyli, nie gnębieni pańszczyzną (w każdym razie ze strony dworu, gdyż kolejni plebanowie, zdaje się, kazali swoim chłopom pańszczyznę odrabiać). W tym środowisku bardzo są stare tradycje szerszych zainteresowań kulturalnych i zorganizowanej roboty dla potrzeb kultury ludowej, a więc i narodowej. Dawne ma konsekwencje choćby ludowy zespół dramatyczny „Krzczonowiaczy”, istniejący zresztą do dziś. Zeby nie sięgać dalej, powiem też przykładowo, że w 1907 roku założono tu stowarzyszenie muzyczne.

Najbardziej wszak podziwiam u tych ludzi autentyczne przywiązanie do regionu, ów sławetny patriotyzm lokalny. Wielu stąd wyjechało, lecz pamiętają o swojej kolebce. Wojciech Slemion przy każdej okazji podkreśla, że to jego rodzinną ziemią. Wielu tu zawitało przed laty i zostali, jak choćby Józefa Suchtowa, nauczycielka, miłośniczka i opiekunka sztuki ludowej, czy Józef Skwarzynski, także nauczyciel, działacz społeczny, organizator ruchu twórczości amatorskiej. W ogóle nauczycielstwo miejscowej szkoły podstawowej, wraz z jej kierownikiem Janem Wacem, notabene zaciekle

fotoamatorem, pełni tutaj szlachetną funkcję animatorów wszelkich poczynań społecznych.

W 1960 roku Krzczonowiaczy zwołali nawet swój zjazd krajowy, którego pozytywne inicjatywy do dziś owocują w Krzczonowie, aczkolwiek nie zawsze tak, jak by się chciało. Bądź co bądź jednak, teraz to pierwsza pod względem kulturalnym gromada w powiecie bychawskim, a i jedna z pierwszych w województwie.

Może właśnie dla tych wszystkich przyczyn zapoczątkowanie obchodów 15-lecia powiatu bychawskiego dokonało się w Krzczonowie (7 II 1971 r.). Był to mały przegląd tego, co w Krzczonowskiem już od dawna się dzieje w kulturze, i co dopiero zaczyna się dziać. Przegląd, oczywiście, niepełny. Trudno wszak nie wspomnieć o 30-osobowej orkiestrze strażackiej, dętej — rzecz jasna, sama „blacha” na ogół. Dyryguje Aleksan-

der Niedźwiedz. Muzykanci w wieku od 13 do 70 lat. Ci starsi pamiętają jeszcze czas, kiedy zespół ten powołany został przy kościele przez księdza Słowakiewicza w 1918 r. W tym okresie rozpoczął grę na klarnecie — na przykład — Antoni Flak, który syna wykształcił na dyrygenta. Ten ostatni przeniósł się wprawdzie do stolicy, gdzie kieruje Warszawskim Zespołem Orientalnym, i zmienił nazwisko na Kwie-

der Niedźwiedz. Muzykanci w wieku od 13 do 70 lat. Ci starsi pamiętają jeszcze czas, kiedy zespół ten powołany został przy kościele przez księdza Słowakiewicza w 1918 r. W tym okresie rozpoczął grę na klarnecie — na przykład — Antoni Flak, który syna wykształcił na dyrygenta. Ten ostatni przeniósł się wprawdzie do stolicy, gdzie kieruje Warszawskim Zespołem Orientalnym, i zmienił nazwisko na Kwie-

ciński, lecz więzi z Krzczonowem odczuwa nadal bardzo żywo (był przecie na uroczystościach inauguracyjnych 15-lecia powiatu, chętnie i wiele ze mną rozmawiał o swym rodzinnym regionie). W orkiestrze strażacków gra, również na klarnecie, laureat kazimierzowskich festiwalu kapel i śpiewaków ludowych — Leon Różański. Gra doprawdy znakomicie.

Najwięcej jednak zabawił mnie nowo założony kabaret „Rzep”, działający przy miejscowym kole ZMW. Teksty pisze tutaj poeta ludowy — Józef Małek. Całością opiekuje się Leokadia Ruchlicka, przewodnicząca Gromadzkiej Rady do spraw kultury. W programie,

który obejrzałem, ostro przelamują się mniejsze i większe kłopoty miejscowej społeczności. A to ksiądz „słono lupie” za pogrzeby i chrzciny (czyżby pozostałości okresu pańszczyżnianego?), a to bimberk pedzą w okolicy. Żelazną wszak pozycją kabaretu jest dom kultury, i słusznie, bo kwestia zakrawa na skandal.

Inicjatywą zbudowania domu kultury zrodziła się podczas zjazdu

nak trochę za mało jak na ambicje i możliwości kulturalne miejscowych ludzi! Biblioteka znajduje się w wynajętym domu prywatnym. Podobnie klub „Ruchu”, gdzie zresztą oglądałem wcale udaną wystawę twórczości ludowej (m. in. piękne pisaniki Franciszki Kochaniewicz oraz hafty Janiny Robakowej). Brak magazynu, w którym można by zgromadzić wartościowe, bo autentyczne, stroje regionalne działających tutaj zespołów, a trzeba wiedzieć, że strój krzczonowski stał się symbolem lubelskiego kostiumu ludowego (używa go także „Mazowsze”).

„Dzisiaj w Krzczonowie wielka nowina, diabli przynieśli panów z Lublina” — śpiewa kabaret „Rzep”. Istotnie ze stolicy województwa zjechało się trochę osób, tym bardziej więc dziwne, że na tej — przepięknie dostojnie z zaproszenia — inauguracji obchodów 15-lecia powiatu bychawskiego” zasadniczo nie zjawili się nikt spośród władz gromadzkiej i powiatowych. Podobno udali się na polowanie — jak głosił plotka. Ponieważ wyobraźnia ludzka jest nieograniczona, a moja tym bardziej, więc wyobraziłem sobie, że w tę niedzielę 7 lutego (bo to była niedziela) oni pojechali do lasu leczyć sobie kacyka. A już myślałem, że im głębiej w teren, tym więcej autentycznego zapalu dla społecznej roboty. Przykład szeregowych Krzczonowiaków w każdym razie to potwierdza.

Maciej Podgórski

Kukulecka kuka...

W IERSZE HANKI Nowobelskiej od dawna zwracały uwagę swoją oryginalnością, ciekawym obrazowaniem; jeszcze przed wojną znalazły się one w antologii „Poezja młodego Podhala”, której patronował Stanisław Pigoń. Liczne utwory poetyckie przynosiła publikowana przez Wydawnictwo Lubelskie „Wies Tworząca” i inne zbiorowe wydawnictwa. Ale dopiero ogłoszony niedawno tom „Kukulecka”, jakkolwiek niezbyt obszerny, daje wyobrażenie o osiągnięciach poetyckich Hanki Nowobelskiej.

Pisze ona przeważnie w gwarze góralskiej. Ale autorka „Kukulecki” urodziła się na Ziemi Ławowskiej, nie jest więc rodzoną córką gór, lecz przybraną, bowiem w Białce Tatrzańskiej mieszka od wczesnego dzieciństwa, tam znajdują się jej ojczyzna poetycka. Wiersze Nowobelskiej odznaczają się wysoką kulturą literacką, toteż czytelnik skory jest podejrzewać autorkę o pewną dwoistość: że myśli językiem literackim i dopiero później „tłumaczy” go na gwarcę góralską. Dialektolog chyba potrafiłby dowiedzieć, że autorka w używaniu gwary nie jest konsekwentna, a więc, że jej prawdziwy język nie utożsamia się z mową wsi góralskiej. Gdyby nawet tak było, można by stawiać pod znakiem zapytania „ludowość” utworów Nowobelskiej, ale nie ich poetyckość. Gwara stała się dla poetki świetnym źródłem poetyckim, źródłem bodaj najciekawszych wyników artystycznych. Toteż ma rację autor wyboru i postawia, Klemens Górski, gdy pisze:

Właśnie konkretność i realizm gwary sprawiają, że jeśli nawet zderza się ona z treściami ogólnymi, o których mówi, to natychmiast je indywidualizuje i ukonkretnia. Wówczas wiersz, choćby i nie najlepszy, zaczyna wybrzmiewać autentycznym dramatyzmem nie tylko w warstwie słownej, ale i znaczeniowej.

Gwara na tle języka literackiego staje się bardziej „poetycka” zaskakuje czytelnika odmiennością i niespodziewanymi zestawieniami. Poza tym Nowobelska zasoby obrazowe i znaczeniowe, tkwiące w gwarze wycisnęła z wyczuciem nieomylnym. Zachowuje chłopski sposób myślenia, obrzędowość, pamięta o wszelkich odcieniach słowa. W „Gościach” sroka zapowiada gość jak w wierzeniach ludowych, w wierszu „Do Czarownika” zwraca się o czarowne ziele, które by zapewniło miłość drugiej osoby, a jeśli nie — by otruliło. Autorka wychodzi jednak poza folklorystyczny zapis, przekształca wiersz w osobiste wyznanie, w erotyk:

Jakże ziele może mi dopomóc
kiedy miły mi na ścieżce jeden,
a ś nim nie żyć ani tyja przez niego.

Właśnie erotyki stanowią największą część tomu i to część bodaj najlepszą. Autorka z wierszy miłosnych zadziwia subtelnością i aluzyjnym wypowiedzianiem uczuć, delikatnym napomykaniem o nich. Dziewczyna podaje w dioniach mlekiem wodę ze źródła, by się napił do syta, ugasił pragnienie. Ale ostatnie słowo jest dwuznaczne i autorka świetnie to wykorzystala:

A kiedy dotkniesz moich rąk na dnie,
nie pociśniesz międ wiecej pragnię
— chęba że ik teta w Tobie zalani,
ze ik nigdy nicem nie uopas...

Niektóre erotyki, zwłaszcza ujęte w rygory sonetu, mają rodowód literacki, łatwo „przetłumaczyć” je na język inny i wtedy odsoni się wyraźnie ich młodopolski rodowód. Ale na ogół Nowobelska ufa swemu poczuciu artystycznemu i nie odrywa się od gwary i chłopskiego widzenia świata. Tyle że autorka gwarcę i wzięty stamtąd surowiec uszlachetnia, przekształca w materię poetycką. Oto „Smigust”:

I zawasek ciała cud kropki
we wierszu moim przepłot
na słowo —
A dziśk przagnem na odterot
— by słowa stały się todom
dycotok.

Zakończenie nadaje temu pragnieniu znowu sens erotyczny, by w postaci wody „dopaść Cie ciepłą ulewą”.

Przy okazji Nowobelska spełniła wymagania nowej teorii poetyckiej, która prowadzi do urzeczowienia słowa, do uczynienia słowa przedmiotem.

Erotyki Nowobelskiej nie są jednak radosne. Wypowiadają marzenia i tęsknoty, które już nie mogą się spełnić. Dlaczego — odpowiada poetka wierszem „Na smentorzu”, w którym umieściła te przejmujące słowa napisane po śmierci ukochanego:

Dostak jakiś ostateczny granic,
już nie zoden nie ogrzeje ogień,
szykko w rachu — Jo kłuiem kolo drogi,
to nie życie, to jest wanty trwanie.

W tej sytuacji rodzi się poczucie osamotnienia, pojawia się smutek i przynębnienie. Przemienia swe uczucia na wiersze. Powłada Nowobelska w „Gęślach”:

Bo całe życie włozem w te nuty i słown.
Bedom się ludzie moim gęślikom cudowne.

„Kukuleckę” zamykają utwory z cyklu „Mój świat”, również ciekawe, osobliście ujmujące i przetwarzające tradycyjne motywy ludowe. To światokarstwo poetyckie przypomina zresztą nieco Kasprówcza, co nie powinno u góralskiej poetki dziwić, a możliwość takiego zestawienia przynosi autorkę zaszczyt.

Z utworami Nowobelskiej a zwłaszcza tą ostatnią grupą utworów znakomicie sąsiadują barwne reprodukcje obrazów na szkłe Jana Jachymiała, artysty góralskiego. Stanowią one integralną całość pięknie wydanej książki, bardzo ją wzbogacając.

Tadeusz Klak
Hanka Nowobelska: Kukulecka. Wybór wierszy. Opracowanie i postawie Klemens Górski. Malowidła na szkłe Jana Jachymiała. Warszawa 1979. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Od p. K. L. z Bielawy otrzymaliśmy gratulacje „z okazji osiągnięcia wielkiego sukcesu detektywistycznego: zidentyfikowania naszego (tj. Klubu Empigoniistów) Prezesa. Fakt ten — pisze dalej p. K. L. — może stać się początkiem złotego wieku poezji empigoniistycznej oraz klubu jej adeptów”. Jakby na potwierdzenie tych słów autor listu przesyła pokazy bukiet em-

pigoniistycznych kwiatków, z których jeden publikujemy:
KANAREK (epitafium)
Pokrojony w plasterki do herbatki imiennowej urzucony przez babcię której potłukły się okulary zginął śmiercią gastronomiczną kanarek żółciutki śpiewający skaczący z pręcika na pręcik.

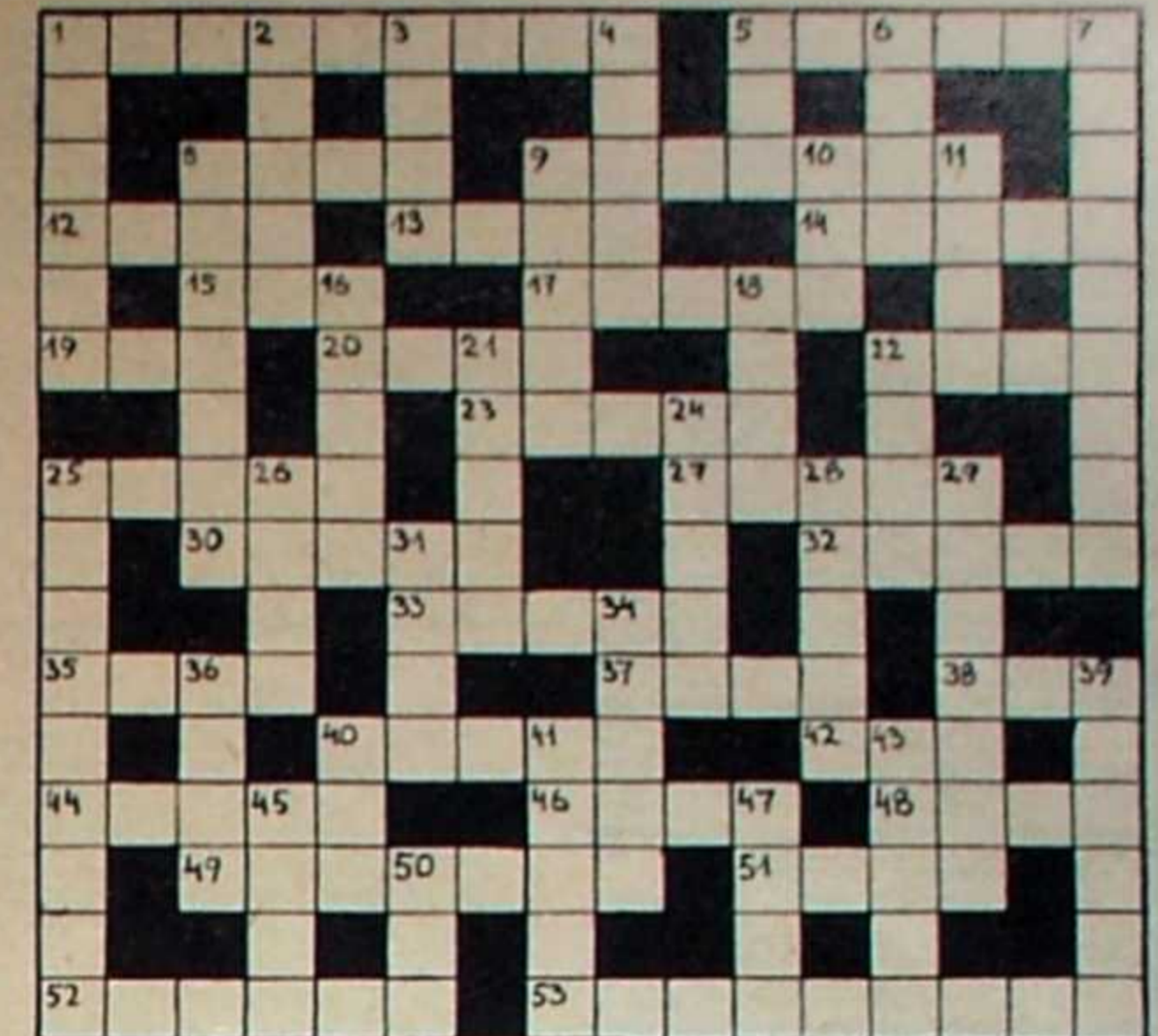
Poczta naszej rubryki przynosi też informacje, kiedy się pisze wiersze, a w każdym razie kiedy p. J. B. z Rejowca pisze wiersze: *Gdy wnętrze nadchodzi cisza itd.* W związku z tym nadchodzi nas pewna propozycja. A może by tak członkowie Klubu Empigoniistów z Prezesem na czele urządzili walny zjazd swej organizacji, na którym mogliby ustalić teoretyczne założenia swej twórczości, czyli tzw. poetykę sformułowaną. Wówczas dowiedzielibyśmy się, kiedy empigoniści psują wiersze. A tego jeszcze nie było!

Krzyżówka nr 6

POZIOMO:
1. kompozytor polski, który zginął tragicznie w Tatrach, 5. wybitny kompozytor polski okresu romantyzmu, 8. Człł, 9. siekierka na kijek, 12. przedwzrost bodziec w organizmie, 13. insekt, 14. występnie w komediach, 15. czerwony w zbroju, 17. jednostka wagi drugich kamieni, 18. czysty planus, 20. samochód, 22. w zylach, 23. elektroda, 25. nazwa, 27. spisek, 28. trwałe, chorobliwe rozszerzenie żyły, 22. grzęda nie żyła, 33. opera 25 pionowo, 35. jaja rybie, 37. kwiatostan traw, 38. jednostka pracy, 40. opera Rachmaninowa, 42. przy muzyce, 44. lodowy na dachu, 46. dzielnic Wielkiej Warszawy, 48. ptak-bezot, 49. znany czeski kompozytor, 51. związek, zjednoczenie, 52. opera Verdiego oparta o dramat Szekspira, 53. opera Meyerbeera.

PIONOWO:
1. trąbka z orkiestry dętej, 2. republika radziecka, 3. napój alkoholowy, 4. kłótka, 5. kompozytor rosyjski z „poetnej gromadki”, 6. otwór w ścianie, 7. kompozytor polski, twórca wielu znanych pieśni, 8. słynne muzeum w Leninogradzie, 9. na dominikanów, 10. część utworu scenicznego, 11. rzeka będąca częścią granicy między ZSRR i ChRL, 12. imię twórcy „Barnabi”, 13. imię twórcy baletu „Gajane”, 21. owoc krzewu, używany na nalewkę, 22. modny napój, 24. może być wodny lub majatku, 25. największy polski kompozytor oper, 28. rzeka graniczna, 28. zminka od tony, 29. ojczyzna 18 pionowo, 31. wezwanie, 34. obraz cerkiewny, 36. materiał na uroczyste koszuły, 39. kompozytor rosyjski, twórca „Ruslana i Ludmily”, 40. mocne piwo angielskie, 41. siatka do hafu, 43. miasto na wyspie Housiu, 45. imię znanego polskiego skrzypka, dyrygenta i kompozytora, zmarłego w 1935 r., 47. napisana muzyka, 50. dalszy plan obrazu.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych roz-



władz rozlosujemy estery nagrody — bony książkowe.
Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 4 nagrody książkowe wylosowali:
Stanisław Wiciński, Marynia, p-ta Motylew, pow. Lublin, Lucjan Duda, Lipa 145/1, pow. Kraśnik Lub., Jerzy Liborski, Szczecin, ul. Wielka 24/9, Wincenty Alenowicz, Gdańsk 29, ul. Dąbrowszcaków 32/B-3.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 4
POZIOMO: Mickiewicz, wykop, antrykot, sezamka, Rea, asysta, Waż, ankiety, klatka, Nałkowska, amfiteatr, plakat, neutral, gra, narada, san, tancerz, czelesta, Waria, Kraszewski.
PIONOWO: miara, cytryna, enklawa, Intrygant, sasada, wrzask, kompleks, praktykant, NIK, Krasnystaw, Tri, aragancja, Wda, Faulkner, Ewa, pancerny, Krassus, zreda, laszek, Amati.

Listy do KAMENY

Sprecht mit uns...

Dobrze się dzieje, że w prasie zaczynają się pojawiać niepokojące głosy na temat nauzenia języków obcych w lektoratich w szkołach wyższych. Mójmy nadzieję, że wlaściwy klimat dyskusji (nawet polemicznych) rodzi szereg ciekawych inicjatyw w różnych środowiskach naukowych. W sprawie modernizacji procesu nauzenia języków obcych w uczelniach należy zająć wyraźne stanowisko.

Być może, dla szerszego ogółu nie jest dostatecznie znana działalność jednostek metodycznych w uczelniach zdużnych Studiów Praktycznej Nauki Języków Obcych, które rozpoczęły swoją zorganizowaną działalność od roku 1952. W niniejszej korespondencji chciałem zwrócić uwagę od czego zaczęły swoją pracę metodyczną studia języków obcych i jakimi pomocami technicznymi dysponują obecnie.

Początki Studium Praktycznej Nauki Języków Obcych przy WSR w Lublinie były bardzo trudne. Studium mieściło się w skromnym pomieszczeniu w baraku przy Al. Racławickich 9. Oweczesna kierowniczka tej placówki, p. mgr Helena Wońska, z ogromnym wysiłkiem zapoczątkowała promowanie księgozbioru, książkę po książce układała z wielkim pietyzmem na półkach tylko jednej szafy bibliotecznej. Musimy pamiętać, że do roku 1956 nie było dobrze opracowanych metodycznie podręczników z fizyka rozpiszkiego, a jeszcze trudniej było zdobyć podręczniki do języków zachodnioeuropejskich.

W księżce inwentarowej Studium zaczęły się pojawiać coraz liczniejsze notatki w utwogach „dar”. Owe dary zapoczątkowała pierwsza mgr H. Wońska i tak po 18 latach Studium posiada 1500 wól. W językach: angielskim, francuskim, łacińskim, niemieckim, rosyjskim, włoskim i hiszpańskim. Stan księgozbioru jest niewątpliwą zasługą mgr H. Wońskiej. Korzystają z niego lektorzy przygotowując się do zajęć, czy wykorzystując różne pozycje studentom, celem zainteresowania ich specjalistyczną tematyką rolniczą bądź terminologią w językach obcych. W ostatnich latach lektorzy WSR zaczęli stosować techniczne pomoce naukowe (pluty, filmy, przeźracza). Od trzech lat na użytek lektorów zostało oddane laboratorium językowe. Wiadomo również, że obecnie zatrudnieni lektorzy na studiach uniwersyteckich nie zrekneli się ze wspomnianymi pomocami technicznymi (magnetofony, projektor filmowe itp.). W związku z tym wyłonił się w Studium dodatkowy problem obsługi technicznych pomocy audiowizualnych. Kurs taki dla lektorów WSR zorganizowała Pracownia Pomocy Naukowo-Dydaktycznych WSR. (Notabene w tej chwili 90 proc. lektorów WSR już umie praktycznie postęgiwać się pomocami). Gdyby nie oburzmy pomoc prof. dr hab. J. Orzechowskiego, SPNJO przy WSR nie byłoby w stanie w ciągu krótkiego czasu zdobyć odpowiedniego doświadczenia to prowadzeniu zajęć w laboratorium językowym i pracowniach językowych, które są wyposażone w nowoczesniejsze pomoce audiowizualne. J. Miziański nie miał więc racji pisząc w 3 numerze „Kamenu” o niedostatecznym wyposażeniu w pomoce techniczne Studium Języków Obcych WSR.

Sam fakt posiadania przez Studium pomocy audiowizualnych nie świadczy jeszcze o zapoczątkowaniu procesie modernizacji nauzenia języków obcych w szkole wyższej. Chodzi bowiem o to, żeby tak zorganizować proces dydaktyczny, by dzięki stosowaniu pomocy technicznych do stosunkowo krótkim czasie osiągał jak najlepsze wyniki. Prawdziwe lektoratowo systemem laboratoryjnym i pracownianym w Lubelskiej WSR niewątpliwie zajmuje dużo czasu lektorom (zwłaszcza w przygotowywaniu zajęć), ale samo uczenie języka obcego, w takich warunkach, jest nie tyle pracą, co przykucaniem. Chciałem również zaznaczyć, że władze WSR w Lublinie dużo uwagi poświęcają roli i znaczeniu języków obcych w ogólnym procesie dydaktycznym na studiach rolniczych, czego najlepszym wyrazem jest stała troska o wyposażenie Studium

Praktycznej Nauki Języków Obcych w coraz to nowocześniejsze pomoce naukowe.

Mgr Wojciech Pankowski
Kierownik Studium PNJO
WSR w Lublinie

„Skrajem świata”

W „Kamieniu” nr 3 z 311 br. do recenzji p. Tadeusza Klaka pt. „Skrajem świata” ukrały się błędy drukarskie. Dotyczą one wiersza pt. „Nowy dom”, którego cytowane fragmenty winny brzmieć:

pusze rami okien
wypełnią danielki tuarzy
z kwitnącymi kwiatami wypieków (...)
oczy zaturą znajomość
z traumami
a ulice wzdzięczy się będą
od tej pory
także do nowych lokatorów.

Ponieważ zmiany zaistniały wypaczają sens utworu, uprzejmie proszę o sprostowanie.

Łączy wyrazy szacunku
Wojciech Kielczewski
Lublin

„Labirynty awansów”

Kilka miesięcy temu pracowałem w nowej bibliotece uniwersyteckiej przy ul. Nowotki w Lublinie, gdzie zdiagnozowałem poczynił pewne obserwacje, które poruszają treść artykułu Ireneusza J. Kamińskiego pt. „Labirynty awansów”. Przekazuję je w formie pytania: czy w księgozbiorze naukowym niedozowna jest literatura gastronomiczno-kulinarna, gromadzona z wyraźną konsekwencją, niemal metodycznie; czy potrzebne są encyklopedie hiszpańskie, drogie, lecz o niezbyt dobrej marce?

A. J.
(Nazwisko i adres znane redakcji)

„Dziury w aparacie”

Naukując do artykułu Ireneusza J. Kamińskiego „Dziury w aparacie”, zamieszczonego w 4 numerze „Kamenu”, chciałbym dodać kilka informacji na sygnalizowany tytułem temat. Otóż wyposażenie uczelni w aparaturę naukowo-badawczą jest bardzo przeciętne, to prawda, ale wyposażenie w maszyny matematyczne jest właściwie żadne. Dwie maszyny, którymi dysponuje UMCS, są nieustannie zajęte, pracując niemal całą dobę. Jedną z nich to zresztą egzemplarz już staroświecki, druga również nowoczesność nie grzeży. O konieczności posiadania maszyn przez UMCS, maszyn nosytek i bardzo spratnych, przekonano nie potrzeba. Ale skąd je wziąć, jeśli produkcja krajowa jest dość skromna, a środki finansowe uczelni ograniczone?

Marian Turski
Lublin

„Czyja nora?”

Szanowny Redaktorze! Klub „NORA” w Lublinie stał się obiektem felietonu Ijona w „Kamieniu”, co z uwagi na świetność piśma, klubowi może tylko pocholebiać — aczkolwiek autor w wielu miejscach wykazuje absolutny brak orientacji w temacie.
„Nora” jest klubem Związku Zawodowego Pracowników Książki, Prasy i Radia, którego członkami jest przecie również i zespół „Kamenu”, a nie Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki, jak donosi w wstępie Ijon. Ten drugi związek partycypuje tylko częściowo w działalności.

Czym powinna być, a czym jest „Nora”? Wyobrażam sobie, że w takiej placówce powinni mieć okazję do spotkań i dyskusji twórczych dziennikarze, księgarze, literaci, wydawcy, plastycy, muzycy, aktorzy. Powinni mieć także okazję do spotkań z odbiorcami swej twórczości. Klub powinien także skupiać przedstawicieli innych środowisk, dążących do kontaktu ze środowiskiem twórczym. Klub powinien wreszcie dać

swym bytalcóm możliwość nie tylko dyskusji, ale także zapewnić odpocznik, rozrywkę, życie towarzyskie. Zresztą przypuszczam, że wlekanie bytalców spotykających się w celach towarzyskich rozmawiających o swych sprawach zawodowych. Ijon na przykład przy książkach koniaku omawia twórczość Galczyńskiego i recytuje jego wiersze. Czy to jest żet?

Nie uważam za stosowne wyliczać ilości imprez odbywających się w klubie. W jednym roku jest więcej, w drugim mniej. Był okres, że uznano nas oficjalnie za najlepszą placówkę kulturalną stowarzyszenia twórców w Polsce. W ostatnich latach odczytów i dyskusji mieliśmy mniej niż kiedykolwiek. Wynika to z prostej przyczyny. Staramy się nie powielać tych imprez, które odbywają się w innych instytucjach i klubach. Staramy się dawać rzeczy nowe, na których inni mogliby się wzorować. Uważamy to za swój obowiązek, bo choć dysponujemy bardzo skromnymi środkami finansowymi, za to gromimy bytalców i przyjaciół o wysokich możliwościach. Niestety, w ostatnich kilku latach nie było klimatu do organizowania imprez o charakterze naprawdę twórczym, odkrywczym, dyskusyj poruszających najistotniejsze problemy społeczne i artystyczne. Nie było nigdzie przebojowych materiałów. Nie za wiele czytano się przecież na łamach „Kamenu” i innych pism.

Od stycznia 1971 roku ilość imprez w klubie gwałtownie wzrosła. Wystarczy czytać komunikaty w prasie, by to obserwować. Niemniej faktem jest, że sam klub jako taki za wiele nie zdziała, jeśli nasi mocodawcy, czyli redakcje lubelskich pism i rozgłośnia, kaiegurze oraz stowarzyszenia twórcze nie ułożą się intensywnie do współdziałania. Tu trzeba też uściśleć pod uwagę fakt, że czołowi przedstawiciele tych instytucji, ci o największych możliwościach twórczych i organizacyjnych są ostatnio tak zapracowani (m. in. udział w niejednej imprezie na terenie całego województwa), iż przychodząc do wtarnego klubu często nie mają już siły i czasu na nie innego jak filiżankę kawy, kieliszek koniaku, czy partię ping-ponga lub zachów dla odprężenia.

Uważam, że „Nora” może być tematem wliczającym do różnego formu publicystyki. Czytelnicy Ijona będą śledzić z zainteresowaniem Jego dalsze próby w tym względzie. O klubie warto pisać, w klubie natomiast warto co „radzilać”. Do tego właśnie spraszam Redakcję „Kamenu”, Ijona i wszystkich zainteresowanych.

Jacek Abramowicz
kierownik Klubu „Nora”

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciel KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KLAK, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIRONA WDEREKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udziela placówka pocztowa i „Ruch”. Redakcja nie wraza materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Al. Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unika 4. Numer łmal WIKTOR MUDA.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-33

Korespondencje zwykła prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconą i ekspresową — pod adresem redakcji.
LZGraf. Zam. 317. 24.11.71 10.832. A-9.

NARESEKCE pamięła ciska i spoj. W lokalu Rady Okręgowej arzeszenia Studentów Polskich przy ul. Narutowicza slychac je-dynie wysychane lakieru na pa-nokciach sekretarke.

Lokal ten zawsze wzbudal w6m mnie zrozumiatal sympatię, jako że spędzil6m w nim wiele milych i niezapomnianych chwil w poszukiwaniach kogo trzeba i nie trzeba, aby zalatwic bardzo wazna lub mniej waz-na sprawa. Jest to pomieszczenie czteropok-jowe, nie licząc sali konferencyjnej, wy-pozazone z przodu w przedpokoju, z tyłu zaś, wiadomo, w toalecie, do której przez ma- ze swojego gabinetu specjalnie drzwi. Z innych zalet Rady Okręgowej liczn6m moji przyjaciele wymieniaja miękkie fotole, w tymie - piec.

Al6 najwazniejsza i niezaprzeczalna zaleta lokalu przy ul. Narutowicza jest to, że nigdy nikogo tam nie ma, a jeśli już na-wet jest, to i tak nie wiadomo, kiedy. Sta-nowi to wielkie ułatwienie pracy tej tak waznej dla studentów placówki. Niezbyt wytrzymał dochodzą w koncu do przeko-nania, że boe jakies tam sprawy żyć i tak mogą, raptowni zaś mają dużo czasu - wy-siadując w fotelach - do przemyslenia swoich decyzji.

Z tych wszystkich wzgl6d6w działalność Rady Okręgowej ZSP znalazl6 wywolowała we mnie zrozumiatal podziw i szacunek. W dobre przestroze biurokracji byla jedyn6 pla-cówk6 w miescie, gdzie nikt nikogo z kwit-kiem nie odprawial. Ba, wydawala mi się wzorem i zapowiedzi6 gruntownych zmian, jakie zal6d niebawem w naszych urzedach, bo Oni i my, studenci, nauczeni wspólnym doświadczeniem, kiedy p6jdzimy pracować na kierowniczych stanowiskach, dopiero po-kazemy, co trzeba i komu trzeba!

Zrozumiatal6 więc, dlaczego z taka radością i ufnością przyjąłem fakt, że w ślad za ta- k6m form6 pracy poszla wszelka działal-ność kulturalna srodowiska. Przec z niepo-trzebna inicjatyw6, bo zakl6ca ona tylko sp6k6j urz6dników RO! Po co nam teatr w klubie Arcus, skoro na jego spełkanie przy-chodzi tłum i przeszkadza tylko patrzeć w telewizor? Po co nam w og6le Arcus? Zwlaszcza teraz. O ile dawniej można tam bylo pobawic się w kulturalny sposób, o tyle dzisiaj można dostac nozem.

Mineły dobre czasy. A przec6z w ubie-glym roku Arcus zal6g czwarte miejsce w

ogólnopolskim konkursie klub6w studen-ckich. Praca Studium Wiedzy Katolickiej, je-dyn6j tego rodzaju plac6wk6 w Polsce, oceni-ona zostala bardzo wysoko. Wsp6lpraca z BWA, dzieki której mieliśmy ciekawe wy-stawy ml6dych plastyków oraz interesuj6ce dyskusje, rozwijala się bardzo pomyślnie i každy wernisaz przyciagal wci6l nowe twarze. Był „Teatr Propozycji”, niezły ze-sp6l muzyczny „Budzka Sufiera”. Nawet wy-sag6n6nia grupy literackiej „Samsara” od-byswały się przy pełnej sali. Świadczy6 to moze jedynie o tym, że istnieje ogromne za-potrzebowanie w srodowisku na tego ro-dzaju kulturalna działalność.

Szukam naiwnego

Tak się jednak zlozylo, że wszystko to m6cilo spokojny sen urz6dników Rady Okręgowej i nikt z nich nie dbal, aby pewnie ciagle do dalszych inicjatyw. Wyglada na to, że komisje odpowiedzialne za kulturę nie miały zadnego planu na dluzsza mete. Nikt też nie zabiegal o to, aby ci, którzy daja srodowisku swój czas i sily, czuli, że są potrzebni.

A przec6z wielkie, szumne imprezy i fe-stiwale w rodzaju różnego rodzaju „wiosen” i „przeładow” nie w gruncie rzeczy przy-ciemn6 studentowi nie daja, gdyż po pro-stu nie są w stanie do niego dotrac. Tym-czasem wydał6 się, że w mniemaniu RO zalatwia to cała sprawa, skoro można na-pisac, że odbylo się to i to.

Wiele os6b, dawniej aktywnych na po-letku studenckiej kultury, a teraz „wysa-

dzony” z srodka i rozczarowanych, snuje się bezczynnie Arcus, który do niedawna jeszcze był srodkiem skupiającym wiele cennych i tw6rczych inicjatyw studenckie-go ruchu, obecnie, od czasu zmiany kie-rownictwa klubu, praktycznie nie istnieje. Nie dość, że nowe kierownictwo nie prze-jawia żadnej inicjatyw6, w dodatku pow-stała tam atmosfera, która wr6z odtraca student6w od bywania w klubie, nazwyw6-ącym się przedt6 „Klubem student6w Lu-blina”.

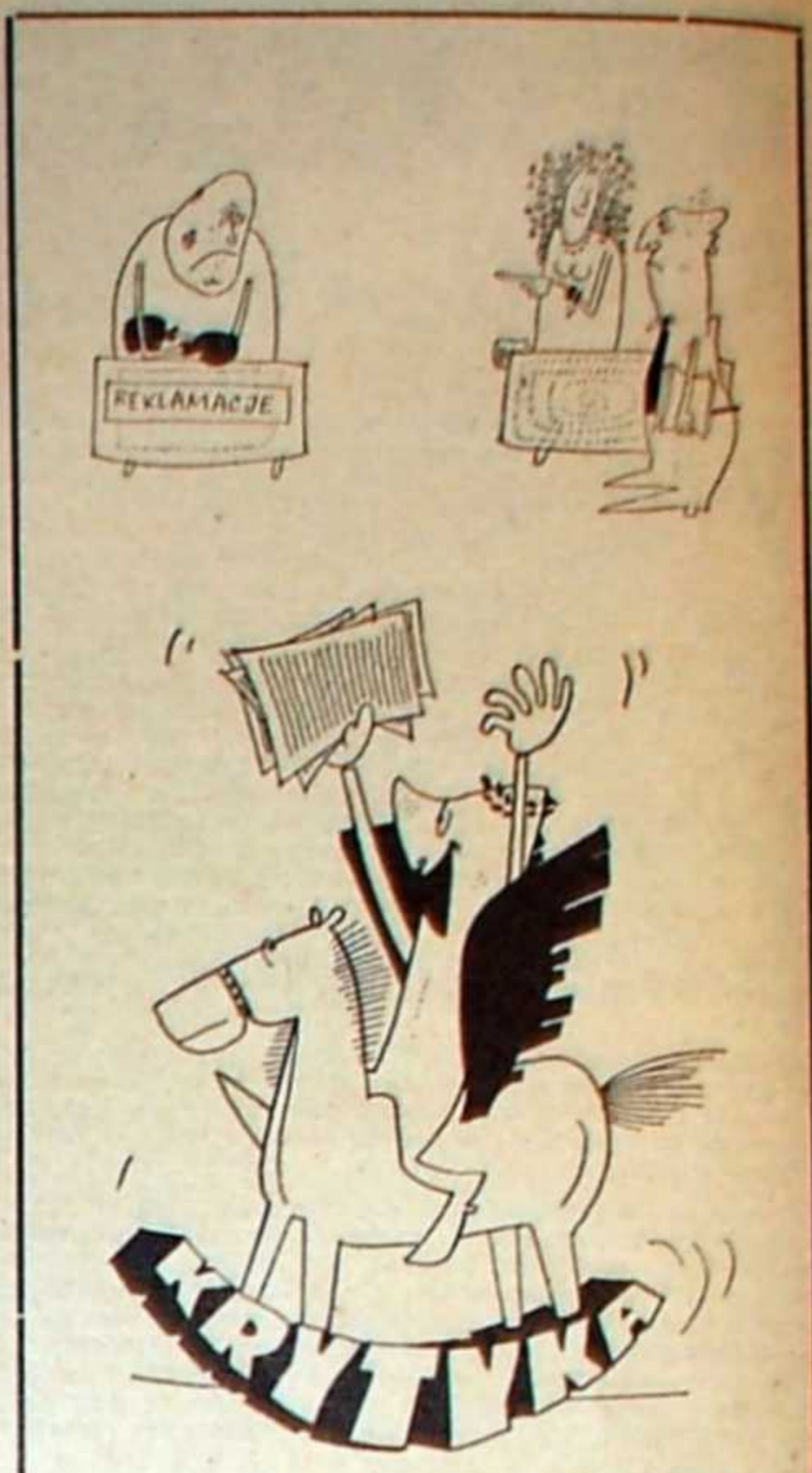
Trudno zreszta dziwic się, że Rada Okr-ęgowa przejawia kompletny brak zaintereso-wania i kompetencji, skoro wielu jej dzia-laczy dawno już przestalo być studentami i z tej racji nie ma rozeznania w rzeczy-wistych potrzebach i bol6szkach srodowis-ka; niektórzy nawet pracuja na s6dakt6w-jach jeszcze etatowo, a RO traktuj6 chyb6 jako miejsce, gdzie można sobie „dorobic”. Jest jednak co6, co moze dziwic. Mam na myśli działalność ludzi redaguj6cych ko-lumnę „Konfrontacje” w „Kurierze”.

Kolegium redakcyjne „Konfrontacji” skla-da się ze student6w. Wydawaloby się więc, że przynajmniej tutaj powinniśmy znalezc problemy srodowiska, jego niepok6je i na-dzieje. Tymczasem „Konfrontacje” obok in-formacji „co bylo”, lub innych, obchodz6-cych chyba tylko psa z kulaw6 noga, nie daja srodowisku niczego konkretnego. A przec6z czyta je prawie každy student. Ja-kaś rolę inspirowania, wywolowania dys-kusji można by, oczywiście, przy odrobinnie dobrej woli i, oczywiście, odpowiednio znaj6cej się na pracy dziennikarskiej redak-cji, narzucic jedynie w tej chwili orga-nowi prasowemu lubelskich student6w?

Tymczasem zrobiono nam mi6 niespo-dziank6, „Konfrontacje” wzbogacono o pro-gram radiowy i repertuar kin. C6z, na po-czatek dobre i to.

Nie nam więc nie pozostaje w tej chwili, jak tylko modlic się o jeszcze jednego „naiwnego”. Co bowiem robi naiwny dzia-lacz? Dziala. Nie martwi się, że ktoś się z niego smiej6, gdy nie chce jechac na zjazd, bo tutaj ma wazniejsze do zrobienia. W swoim upartym dazeniu do zadowolenia wszystkich jest bardzo naiwny, gdyż i tak bed6 na niego palioczyć. Ale jest nie-zbedny.

Artur Kowal



Rys. L. Szalecki

MINUTA MYSLANIA

Lechoń

JAN Lechoń w swi6d6-mosci kulturalnej lat trzydziestych był kate-goria jedna z najl6t-szych. Nie można bylo pominac moral-nych i filozoficznych pozycji autora „Karmazynowego poematu”, jeśli się zabieralo głos o rzeczy-wistosci artystycznej. Nie tylko sila, ale i prawda slowa miały tutaj znaczenie.

Był najwybitniejszym poet6 „Skamandra”. Nie bywalowy, ale rozgadany Tuwim, który to, co jest sezonowa moda na autora, umial przedt6życ poza sezonem. Nie kulturalny Słonim-ski, którego swietny wiersz wy-plywal jednak ze zródl6 literacko-sci. Nie klasyczny Wierzyński, wprawdzie w „Laurze olimpijski” osi6zajacy wysoka nutę, ale nieco dekoracyjny i pusty w liryce patriotycznej. Lechoń ran-za poetyka znajdowal się zadzi-

wiaje6o blisko swoich starszych kolegow, by sie po latach oka-zalo, że ich przewyższal. Casus Rimbaud w polskiej poezji po-wt6rzył się niemal dokladnie. Je-dyne odstęstwo od analogii, to do-tycz6one oczekiwania polskiego Rimbauda na powrot6 miodzi6n-czej weny poetycznej i niezgod6 na pozytywne epistiera.

Jego decyzja wyjazdu z Polski (grubo przed wojna) niewatpliwie miała zwiazek z opadnięciem sil tw6rczych. Autor „Herostatesa” nie m6gl sp6gladac w twarz rzeczywistości, która wymknęla się jego do niedawna zwycięskiemu slowu, nie czul możności uło-żenia z nią innych stosunk6w, jak tylko z pozytyw6 zdobywczym. A moze miał nadzieje, że „ciel de Paris” jakimś cudem przywr6ci utraczona moc tw6rcz6!

Nie stalo się to. Przeszedl6 upa-dek Francji, a z nim koniecz-ność dalszej emigracji. Via Rio de Janeiro do Stan6w Zjednoczo-nych. Ciagle czekal. Ciagle teskn-il do siebie, osiemnasto-, dzie-więtnastoletniego, kiedy to wy-raz poetyki posluszny marzeniu zdobywal szczyt polskiego - i chyba nie tylko - Parnasu. Ale jeśli nastapilo obniżenie w skali artystycznej, przec6z nie tak wielkie. Jak jesteśmy skłonni przesadnie oceniac (a namietaj6my, z jakiego punktu odniesie-nia je wyprowadzamy), to tym mocniej, bo równiez przez zosta-lazie, wypowiedzialy się uczucia

patriotyczne, umilowanie nie tylko kraju literackich sukces6w, ale jedynego miejsca na ziemi, gdzie można żyć bez tęsknoty. „Lutnia po Bekwarku”, „Aria z kurantem”, „Marmur i róża”, to artystyczne świadectwa tego stanu ducha. Nie wytrzymał go. Rzu-cil się z hotelu „Hudson” w No-wym Jorku w roku 1936.

A Krzysztof Mętrak napisal o nim artykul w „Kulturze” z dnia 21.II.1971 roku.

W artykule tym powiada, że Lechoń miał poglady polityczne czasowe i nie. I że są wyjęte z karykatury. C6z, zwolennikiem kolektywizacji, ani nacjonalizacji przemyslu rzeczywiscie nie był. Ze był w aurze legendy legiono-wej - też prawda. Ale jego sym-patie polityczne zostaly ustalone w latach dwudziestych, a więc w czasie, kiedy postac6 Piłsudskiego ci6zyla nad polityczna orien-tacja znacznego odłamu społe-czeństwa, do którego przynależ-ności nie wybieral, a po wt6re - jego aplauz idei legionowej odbywal się z powod6w poetycz-nych i w takichże terminach, czyli był świadectwem wyboru raczej postawy życiowego roman-tyzmu, aniżeli orientacji politycznej. Dodajmy i to, że „Dziennik” był pisany w ostat-nim okresie życia Lechonia a więc w czasie, kiedy przez na-żenie tęsknoty mity ml6doci6c6w ożywały w nim szczeg6lnie mocno, tym bardziej już przeslan6-iac swe implikacje ściśle poli-

tyczne. dla Lechonia zawsze mniej wazne. Potrzeba absolutnie nie czuć (nie dziwnego; daty) tej organizacji psychicznej, by dziwic się wierności tęsknocie, która miała aspekt w6lno wy-lacznie poetyczny. Przy tak kon-sekwentnej wierności tradycjona-listycznemu honorowi artystycz-nemu, od którego Lechoń nigdy nie odszedl!

Wokolo tylko trwozi i troski tak liczne. Ale ty się nie buntuj przeciw przeznaczeniu! Spokojnie piz do konca, swe wiersze klasyczne, które wtedy są dobre, gdy cierpisz w milczeniu.

Co - oczywiście - nie oznacza potrzeb6 rewolucyjnej tych ele-ment6w świadomości tragicznego poety. Zostawmy je - samob6j-cz66 śmiertel6 oddane milczeniu.

Ijon

P. S. Mętrak pisze: „(Lechoń) dramat literackiej niemozy i poli-tycznej bezbronnosci kumulowal się w rytualnych aktach dziesiąt-kułowych ostarz polskich i eks-humalacyst6 dawne narodowe mity”. Nie rozumiem, co dziesiąt-k6w6c6o pisarzy polskich? I: „Zawsze porozniwala w nim wi6d6-mosc6 niemozliwosci pełnej identyfikacji z czymś, co Polska nie bylo”. Wice tak naprawd6 ta tęsknota do nie-Polski czy tęsk-nil6 do Polski? Ciekawa teoria.



Rys. W. Fuglewicz

FELIETON Z REZERWY

Gdzie jest literat?

DLUGO czekaliśmy, my prowincjacy, na to za-powiedziane wydarcie. I oto stalo się: J. Putrament wydal w Czyn-telniku IV tom swoich wspomnien z cyklu „P6l wieku”. Tom ten nosi nader obiecuj6cy tytuł: „Literaci”, zawiera 22 320 stron, które oceniono na 25 zł. Ce-na wyduje się zadanie wyz6rowa-na. Nie tyle jeśli idzie o ilośc i jakośc papieru oraz objętośc edy-cji, ile ze wzgl6du na mierne, de-likatnie mówiac, walory treściowe i literackie tej pozytyw6 czolowego i literacko niekiedy sprawnego pisarza.

Owe walory, a raczej ich brak, denerwowaly mnie i niepok6jily wczesniej, już podczas lektur za-

mieszczanych w „Miesieczniku Literackim” sznystych fragmen-t6w książki Putramenta, który obiecywal, a jeszcze bardziej chy-ba powinien dac synteze trudnych 6 lat poprzedzaj6cych październi-kowy przełom - nie tylko w kul-turze i literaturze. W6wczas mog-lem jednak uspokajac się logicz-n6 w koncu myślic, że czego nie można bylo znalezc w odcin-kach, w obfitosci znajduje się w książce. Ale się w niej nie zna-lazlo.

Znalazłem w niej natomiast - jak w „Polityce” określa książk6 Putramenta K. Koźniewski - „p6ł-powiesic o cwi6rciliteraturze”. Re-cenzenci pism literackich wytyka-ja IV tomowi wspomnien Putra-menta ich dowolność, eufemizmy sytuacyjne i personalne, skrajny subiektywizm ocen, wreszcie niskie wartosci stylistyczne „Litera-t6w”, książki, która zbliża się do wyzszych rejon6w prozy jedynie we fragmentach poświęconych o-sobistej pasji autora - wd6kar-skim wyprawom na Mazury, do leśnicz6wki Pranie. (I tu margi-nesowa zreszta uwaga: ta sama leśnicz6wka Pranie kojarzy się z najswietniejszymi rezultatami ar-tystycznymi zmagania u Galczyń-skiego w „Kronikach Olsztyń-skich”, i kojarzy się z książk6 Putramenta, najgorsz6 bodaj w całym jego dorobku).

Bo leśnicz6wka Pranie wymie-niana jest na stronach „Litera-t6w” często, a gor6c6e lata 1934 r. - wr6cz notorycznie. Jeśli na-

wet Putrament wpadnie na pare dni do Warszawy, to natychmiast p6dzi autem z powrotem na Ma-zury. Trudno zreszta się Putra-mentowi dziwic: w Warszawie rozstrzygaly się wazne, ale plek-tilnie trudne sprawy, nad ma-zurskimi jeziorami panowaly bl6gi sp6k6j. Nad jeziorami, ale nie w duszy autora zapisk6w, Putrament bowiem wielokrotnie zapewnia, że cierpial bardzo, z książk6 wynika, że bardziej niż ktokolwiek w6w-czas; ale trudno mu uwierzyć, wr6cz wierzyć nie sposób, skoro pisze, że „jeszcze wtedy nie rozumialem”. A więc autor cier-pial, choć nie rozumial? I nie rozumial mimo ponad to lat ży-cia, kilkunastu lat działalności dy-plomatycznej i politycznej?

Putrament przekonuje, że stan taki był możliwy. Bo dla Putra-menta nie ma rzeczy niemozli-wych. I nie nie wymaga uzasad-nienia w tym jednowymiarowym, schematycznym swiecie, w którym za wszelkie argumenty wystarcza jedynie słuszna, nieomylna ocena nieomylnego Putramenta. Szafuje więc swoimi arbitralnymi wyro-kami, jednego nazywa kabotynem, drugiego wdzicznym miannem szmaty, jeszcze innego szuja, g6wniarzem, chłopieciem, myd-kiem itd., itp.

W og6le strony książki Putra-menta zaludniają owe szuje i mydki. Na dobr6 sprawę tylko on jeden pozostaje tu kryszta-łowy, on i jemu najblizsi. Dla sie-bie i dla nich, zwlaszcza zaś dla

siebie, autor jest rozczarowaj6co wy-rozumialy, potrafi ciazymi akapi-tanami analizowac swoje stany w-ewnetrzne i cierpienia, ale innych bez jednego zdania uzasadniaj6cego potrafi nazwac kabotynem, szuja. Dlaczego? Putrament pewnie wie, czytelnik nie; musi wierzyc, nie ma wyboru. Zwlaszcza ml6dy czytelnik, nie znaj6cy z autopsji ani opisywanych ludzi, ani czas6w.

Tymczasem literatura zawsze stanowila próbe zrozumienia zło-wiska; nawet mroczny swiat Do-stojewskiego, dziełki talentowi i humanizmowi autora, oświeca g6ł6boko ludzkimi wart6sciami; ani Raskolnikowa, ani bracia Karama-zow nikt nie osmielilby się nazwac „tydalkami”, mimo iż na setkach stron zachowuj6 się nieraz odr6d-zaaj6co. A Putramentowi wystar-cza slowo-symbol, on po prostu stwierdza: X to kabotyn. Krop-ka. Tylko że takie spisywanie hi-sterycznych dośc twierden nie ma nic wsp6lnego nawet z cwi6rci-literatur6.

I jeszcze jedno: cale szczęście - cale szczęście dla pisarza - że czytelnicy na og6l nie feruj6 go-los6wanych wyrok6w bez uzasad-nienia i pamietaja, że Putrament opr6cz zdecydowanie literacko-zlych „Literat6w” wydal sporo in-nych jeszcze, a w tym paru troche lepszych książek. Na przyklad z duż6 znajomośc6 rzeczy, szcze-rze i kunsztownie napisane „Kraj-obrazy”.

S. H.

NOTY i notki

Bardzo falszywy wydzwięk posiadaj6 niekt6re „krzyż6wki z wydzwiękiem”, zamieszczone w „Sztandarze Ludu”. Oto w nr 49 w hasle „poziomo 25” utowiamia się poduszki6w6c z wodol6tem. Sprostawo więc nalezy, że poduszki6w6c porusza się dzieki poduszce powietrznej, powstaj6cej w wyniku sk6nego ustawie-nia dmuchaw, natomiast wodol6t posiada normalny nap6d sru-bowy (czasem śmigłowy lub odrzutowy) oraz platy nośne pod kadłubem. Zupelnie inne rozwiazania techniczne. Zaraz w na-stępnym hasle anonimowy (szlusznie) autor krzyż6wki6 utowiamia emeryturę z rent6, podczas gdy emerytura pracownicza z rent6 inwalidzka czy rodzinna to takze zupelnie inne rzeczy. Można jeszcze dyskutowac, czy tafia może miec kształt prostok6ta, czy roz6 jest ozdoba nosorożca itd - ale dwa pierwsze przyklady wy-starcz6 do stwierdzenia, że przez rzekomy wydzwięk balamci się czytelnik6w a nie uczycy.

Pani Agnieszka Osiecka pojechała do Londynu, skąd - jak twierdzi („Polityka” nr 9) - przywozi się „najmodniejsze klecki i najradzykalniejsze sztuczycia” - albo przynajmniej plotki o najradzykalniejszych sztuczyciach”. Nie wiem jak tam z klecka-mi, ale w6wna lektura tego, co pani Agnieszka napisala po wo-wolecie, nasuwa nieodpart6 wrazenie, że przywozila wlasnie to, co sama zakwalifikowala do „przynajmniej”. Ale bylbym nie-sprawiedliwym nie podkreślaj6c, że autorka zdobyła się jednak na jedn6 g6ł6bk6 refleksj6. I to po obterku (po raz drugi w ży-ciu, co troskliwie podkreśla) szuki „Hair”. Oburzaj6c się więc, że „to samo slowo „p...” zalatwia zbyt wiele spraw tego swi6ta”, ujawnila swoj6 refleksj6: „Ale ja to chrzanic”. Pani Ag-nieszko, w Anglii pieprz też tanzy od chrzanu.

W tym samym numerze „Polityki” Kazimierz Koźniewski pisze: „Jakkolwiek by to nie bylo wymyślone...”. A z całej recenzji o książce Ligockiego wynika jednak, że wiele rzeczy zostalo przesł Ligockiego wymyślonych, bo gdyby nie zostalo, ani Ligocki, ani Koźniewski nie mieliby o czym pisac. Wi6c doprawdy lepiej pozostal6 przy prawdziwym zwrocie: jakkolwiek by to bylo wy-myślone.

Nieoceniony propagator zachodniej muzyki ml6dziezowej i za-przyjełony animator balchodwaństwa wobec id6w6w tej muzyki, słowem Roman Waschko jest zachwycony tym („Sztandar Ml6-dych” nr 49), że na wz6r zachodni wreszcie i nasze zespoły fun-duj6 sobie luksusowe foldery reklamowe. W6ród nich i zespół „Pakt” z Wrocławia, którego folder zawiera historię (?) zespołu, zdjecia oraz „informacje w jezyku angielskim”. Na wypadek, gdyby zostal zaproszony na występy w Londynie czy Nowym Jorku? Jak na razie „Pakt” nagral kilka utwor6w dla rozg6ski PR we Wrocławiu (nie dla PR we Wrocławiu, bo tak nie istnie-je - panie Waschko), a „w najbliższym czasie” ma nagryw6c dla rozg6ski warszawskiej. Nie dziwnego, że tak szeroko znany „Pakt” pisze o sobie po angielsku. To wyglada dumnie. Ciekawe tylko, kto paci za tę dumę.

Jeżeli jesteśmy już przy muzyce rozrywkowej i piosenkach, to slowko o Halinie Kunickiej. W wywiadzie dla „Zycia Warszaw-y” (nr 50) powiedziala Ibisowi po wymianie wzajemnych kom-plement6w: „Staram się śpiewac o czymś konkretnym. Jeśli piosenka jest o niczym, to musi być ładna”. Z czego wynika, że piosenka o czymś konkretnym powinna być brzydka. Tymczasem w odczuciu sluchaczy (nie tylko p. Haliny) jest całkiem odwrot-nie: mamy smac piosenke o niczym, a ładne da się policyc6 na palcach.

Przez ctery dni telewizja raczyła nas - w programie - trans-misjami z lw6wskich mistrzostw swiata w Lyonie. W progra-mie, bo w telewizji tak się jak6 skl6dalo, że polowa najcie-kawszych występow zostala zastapiona trzeci6rdziemymi wiad6-mościami dziennika, a pol6czenie z Lyonem uzyskiwano naj-częsciej w chwili, gdy szczylna się tam przetrwa. W tej metryce latwo dojrzec wielki szacunek dla tzw. okienek programowych, ale bardzo malo szacunek dla telewidz6w.

Gł6sno bylo swego czasu o grupie poetycznej „Forum-Hybry-dy”. Ostatnio różnie z tą grup6 bywalo, ale chci6lbym zwr6cic uwage na jej manifest, ogloszony w nr 2 „Radaru”, a podpisa-ny przez kilkanaścic6 os6b. Jest to niezwykle ostry os6d wsp6l-czesnej poezji. Oto kilka wyrwanych z tekstu zdań: „Poezja dzisiejsza rodzi tylko bełkot, niechęć do czyn6w i wstret do sł6w... Mamy do czynienia nie z wielk66 powiezia, lecz z wielkim os6st-awem społecznym i naduzywaniem slowa „poezja...” Oskartamy najml6dszych poet6w, o to, że nie mają odwagi przyjac ryzyka, jakke za sob6 pol6ga podjecie problem6w swego czasu, o ka-terowiczystwo i pisanie wierszy dla redaktor6w i jury setek konkurs6w, slowem o zastapienie osobowosci poetycznej66 osobowosci koniunkturaln6... I kto podejmie polemikę?

Odpowiedzi redakcji

„Szymon K.” w Lublinie. Istotnie - list dośc typowy i otrzymujemy takich setki. Dobre chęci są, pewność siebie także, tylko talentu poetycz-nego brak, co sprawa definitywnie wyczerpuje. Informacja o tym, że nie každy przecie musi zostac pisarzem, wydaje nam się zbyszczna.

E. D. w Toruniu. Wielce Szanowna Pani! Istnieje pewien fenomen, nad którym przyczynami prózno lamie my sobie gl6wy od dluzszego już czasu. Jak to mianowicie się dzieje, że ludzie - żyjący wstak w wieku pełnym dramatycznych i tragicznych konflikt6w, w okresie za-razem, gdy transmisja wartosci kulturowych jest na biez6co niezwykle szybka i szeroka - a więc że ludzie w takiej epoce potrafia jeszcze literacko „odkrywac” konwencje poetyczne, które mineły w ubieglych stuleciach? Gdyby szlo o nadesłane teksty, to mamy do czynienia z poetyka sentymentalna z konca XVIII stulecia. Zgrabne nawet stylizacje, tylko że co z tego? Wsp6lczesnego czlowieka już te piękności nie zainteresuj6.

M. L. w Pruszkowie. W nadesłanych tekstach znajdujemy dwa, trzy udane poetyczne sformulowania. Działaj6 jednak kulturowy czlo-wiek, posiadaj6cy pewne minimum wrażliwosci, moze się zdobyć na jedn6 czy dwie udane metafory. Tylko, proszę nam wierzyc, że jeszcze nie pow6d, by zasladac do pisania wierszy lub by - tym bardziej - mienic się poet6. Najwiecej zlych tekst6w powstaje w6lno wiedzy, gdy každy z nich pisze się do jednej udanej metafory.

W. P. w Białymstoku. Faktycznie - na tw6rczosc6 aforystyczna miejsca-cia o nas za wiele nie ma. Na dodatek w Pańskim przypadku senten-cje nie są pogl6bione i niejako „rozegrane” w warstwie jezykowej. Brzmia sucho i nudnie, dowcipu im brak, choć nie brak im słuszności. Tylko że słuszność to nie jest jedyna i chyba nie najwazniejsza dystynk-

cja. Jak6 się powinna literatura wykazywac. Słuszność bowiem to w literaturze rzecz dosyć wgl6dna. Pewniejszy jest natomiast, choć trudniej uchwytna w kategoriach racjonalnych, ekspresja artystyczna slowa. W sumie - nie skorzystamy.

R. K. w Krakowie. Jak słusznie Pan zauwaza, Polska Ludowa „daje możność kształcenia i rozwijania talentu”. Recepta na indywidualnie udane zycie sprowadzalaby się do odkrycia, jakim to talentem obdar-zyła nas natura. W Pańskim przypadku nie jest to talent literacki, z którego to powodu my byśmy się na Pana miejscu nie martwili, tyle bowiem innych dziedzin ludzkiego zycia lezy odlogiem, a w kaźdym razie mniej jest uprawianych.

R. M. w Gorzowie Wlkp. Z nadesłanych tekst6w skłonni jesteśmy skorzystac, rezerwuj6c sobie prawo do pewnych interwencji natury skrytycznej. Gdyby zdarzylo się tak, że przed publikacja w „Kame-riole” gdzieś Pan opublikuje jeden z tych tekst6w, prosimy poinformo-wac nas o tym. Zyczynmy powodzenia i pozdrawiamy.

A. P. w Pulawach. „Niocisci bezkres”, „piedestaltowe gniazda”, „umiec” (zamiast: umiemo) to nie są kwiaty, które moglaby znieśc nawet nasza dobra wola i zyczliwosc6 dla ml6dych - jak to się mówi - adep-t6w pióra. A w6g6le to znać, że Pan niezbyt się napracowal nad wierszami, ot tzw. pierwsze rzuty, w których moze nawet cos się bli, ale całkiem jeszcze niesmiatlo, przygl6zzone nieporadnośc6 i wieloslowo-ni. Doprawdy trudno w tej sytuacji na ocenę jak6s wi6zi6ca. Zapowiedzi w kaźdym razie nie są najwieselsze.

L. K. w Rybniku. Wielokrotnie już mieliśmy motliwosc6 tłumaczyc6 szanownym autorem, iż szlachetność myśli, szlachetność ideowych prze-konań, patriotyzm itd. nie gwarantuja autentycznych walor6w poetycz-nych, choćby się nawet owe myśli i przekonania staly bezpośrednim przedmiotem wierszy. A więc nie są dobre Pani utwory i nie na to poradzic nie jesteśmy w stanie.